AS



Nr. 2.

12 STYCZNIA 1936 R.
CENA 40 GROSZY.

TO JEST... CONTINENTAL!

(Patrz str. 16 i 17).

Nasz Nowy KONKURS

na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki.

Zapoczątkowany w poprzednim numerze „Asa" nowy „Konkurs na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki" wywołał już echo wśród licznych naszych Czytelniczek, które pod adresem Redakcji Magazynu skierowały zapytania, odnoszące się do wymogów samego stroju sportsmenki. By uniknąć nieporozumień zaznaczamy, że konkurs nasz odnosi się wyłącznie tylko do tych osób, które dany sport rzeczywiście uprawiają, niekoniecznie jako zawodniczki klubowe, zdobywające laury na turniejach bo tych jest stosunkowo bardzo mało, lecz przedewszystkiem jako kobiety, doceniające wpływ sportu na zdrowie i dodatni wygląd całej postaci, czynnik, przynoszący nam tak rzadką dziś radość życia.

Kto zaś sport traktuje na serjo, ten napewno znajdzie i właściwy strój dla siebie. Chodzi w nim przedewszystkiem o to, by wszystkie jego akcesorja pozostawały ze sobą w zgodnej harmonji, zarówno pod względem barwy, jak i kroju, oraz co najważniejsze, by odpowiadały charakterowi twarzy i całej postaci sportsmenki. Po tych wyjaśnieniach czekamy na interesujące fotografje! Red.

Na prawo: Dwie sportsmenki spod znaku św. Huberta — jedna „na poważnie", hr. Melanja Hoyos na polowaniu z nagonką w Styrji, druga „na wesoło", w stroju, nadającym się raczej do kabaretu, niż na polowanie.



Na lewo i poniżej: Oto jak powinien wyglądać strój prawdziwej narciarki i jak go sobie wyobrażają girlsy z Hollywood.







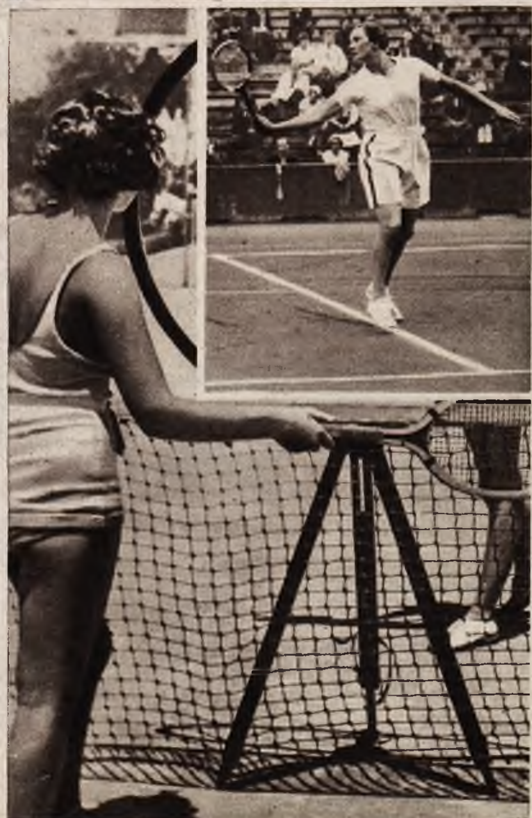




Powyżej: Sport konny uprawiany na serjo i dla zabawy.



Na prawo: Jak powinien i jak nie może wyglądać strój prawdziwej tenisistki.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 2 **Niedziela 12 stycznia 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 2-GO:

Fot. Zygmunt Frenkiel — Paryż.

Słynny Maurice Chevalier (x), który tyle wniósł do filmu swoistego dowcipu i nowych zupełnie walorów, pomimo silnej konkurencji zachował w dalszym ciągu swoje uprzywilejowane stanowisko, jako as niezem niezastąpionego paryskiego „esprit". Oto wybitny artysta w otoczeniu polskiej trupy z Zizi Halamą i Feliksem Parnellem na czele w chwili, gdy za kulisami paryskiego Music-Hallu „Casino de Paris" żegna swych polskich kolegów przed wyjazdem do Ameryki.

16 WIEŻYC
W SAN GIMIGNANO.

Napisał i zilustrował LUDWIK TYROWICZ.

Jeden przeczytany artykuł, kilka fotografij, jakaś nastrojowa akwaforta, rozbudziły tak moją ciekawość, że postanowiłem przy najbliższej okazji poznać San Gimignano, niesamowite miasto, znaczące się ciemnym lasem wieżyc na tle wzgórz i nieba Toskanji. Podszept legendy i niedomówionych opowieści otacza ten średniowieczny zakątek. Ktoś niegdyś tam był, ktoś wspominał niewiarygodne piękno tego miejsca, nikt jednak nie umie wskazać drogi. Głęboka i niepokojąca tajemnica osłania ten gród i towarzyszy mi podczas tegorocznej podróży. Baedecker, informator najdokładniejszy wzmiankuje tylko, że z okien pociągu, zdążającego do Sieny widzi się wieżyce San Gimignana. Nic więcej. Trzeba przestudjować na miejscu „orario" kolejowe. Istnieją dwie drogi. Jedna z Pizy lub Florencji przewiduje trzy lub czterokrotne przesiadanie, kończące się jazdą autem lub wozem z zaprzęgiem koni czy wołów z miasteczka Poggibonsi — druga droga to wycieczka autem ze Sieny, wynosząca 40 km.

San Gimignano leży więc w głębi Toskanji odsunięte od szlaku turystycznego. Nie dostanie się tu nikt tramwajem, jak z Florencji na Fiesole, ani też nie znajdzie tu hoteli i obcej mowy. San Gimignano, wznoszące się ponad falami wzgórz i nieprzebraną mnogością winnic i gajów oliwnych, zachowało czystość swego średniowiecznego oblicza. Tu się rodzi cierpkie, a zdrowe „Chianti". Lud z winnic ma poczucie swych starych tradycyj, a byle właściciel fiakra czy sklepiku chełpi się pięknem miasta i mistrzami z XIV w., jak Gozzoli lub Lippo Memmi. Stąd pochodził słynny humanista Kalimach, historyk i doradca Jana Olbrachta, polskiego króla, zwany też Buanacorsi.

San Gimignano zwabia turystów niezwykłą atrakcją swego prastarego wyglądu. Nic tu nie działa oddzielnie, jak w innych miastach, lecz całość stanowi nierozerwalny łańcuch emocyj zwrokowych wprost niespotykanych. Już zdala widać imponujące średniowieczne drapacze nieba, owe słynne wieżyce. W każdym punkcie Włoch spotkamy wieże, odznaczające się różnemi efektami — taką jednak ciżbę i stłoczenie tych strzelistych brył, jak tutaj, nie ujrzymy nigdzie więcej w Italji. Kroniki podają, że miasto posiadało w XIV w. 72 wieżyc. Dziś wznosi się jeszcze 30, w tem 16 dominujących. Stąd też bierze się miano „la citta turrita". To okrzyk zdumionego przybysza i wyraz dumnych obywateli. Tu, w San Gimignano czytamy na każdym kroku historję wieków średnich, o których mówi Victor Hugo, że w kamieniu zapisały swoje dzieje. W niezwykłem otoczeniu średniowiecznych form przenosimy się w mistyczną rzeczywistość i wchłaniamy jedną z najdoskonalszych syntez włoskiego trecenta.



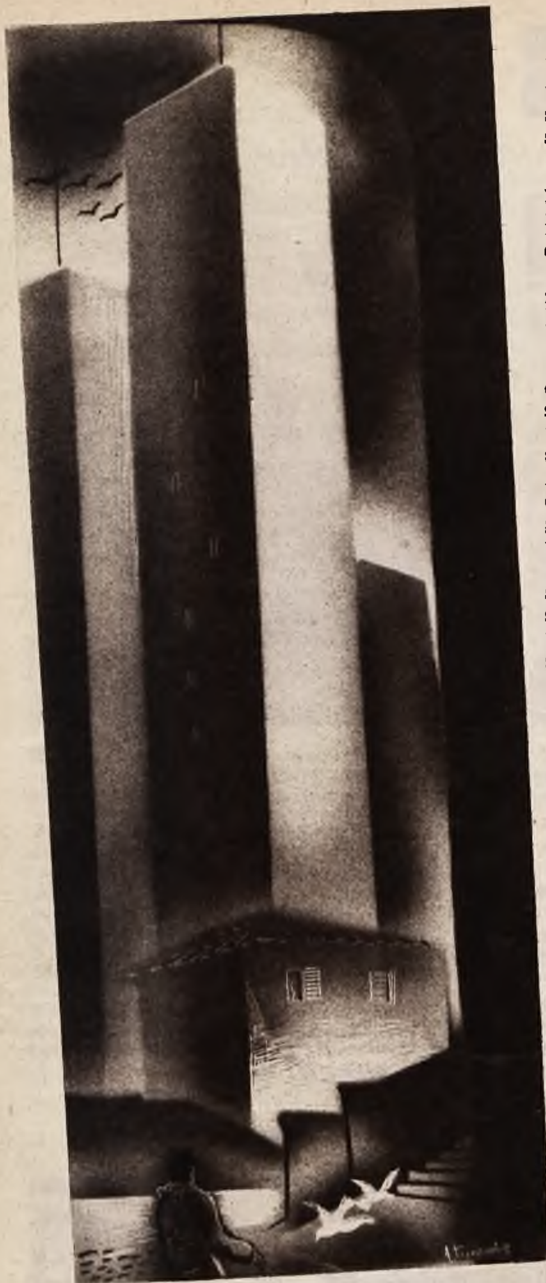
Charakterystyczny typ włoskiego sprzedawcy wina.

Poza San Gimignano przetrwały i w Bolonji obronne wieżyce, najsłynniejsze krzywe Asinelli i Garisenda, stawiane przez patrycjat w okresie walki stronnictw politycznych, dla obrony mienia i życia. Zbrodnie oraz intrygi czaiły się w czeluściach wąskich uliczek. Kto nie był czujnym, kto nie podpatrzył co się dzieje w jego sąsiedztwie, ten padał ofiarą zbrodni, lub zdrady. Wieżyce w San Gimignano, to nietylko zabytki architektury, ale i dokumenty obyczajowości średniowiecza, które było ciemnem kłębowiskiem namiętności, zła i małostkowych ambicji władców i ich suto opłacanych poplecznikòw.



Średniowieczne drapacze chmur w San Gimignano.

Od wrót Porta di S. Giovanni rozpoczyna się kalejdoskop podniosłych wrażeń. Poprzez „via S. Matteo", ściśniętą staremi a wysokiemi blokami domów, przechodząc zkolei przez 2 place lub przez pełne czaru uliczki i strome schodkowe przejścia, dostajemy się na Piazza del Erbe. Tu gra dopiero cała osobliwa scenerja. Na małej, ciasnej przestrzeni wzbija się w górę osiem wież — drapaczy. Zupełnie proste, pozbawione jakichkolwiek ozdób, kuby tem mocniejsze wyciskają wrażenie pędu w górę, że brak tu dla widza odstępów perspektywicznych. Ich ostry profil odcina się twardo na tle błękitu nieba. Słońce, gorące i jaskrawe,



Wieżyce Ardingheli'ów.

rzuca cienie geometryczne w dużych i długich płatach, łamiących się na płaszczyznach murów, schodków i bruku w kanciaste zygzaki. Widok ten odbiera nam poczucie rzeczywistości, zdaje się nam bowiem, że oglądamy jakąś niesamowitą konstrukcję teatralną. To jakaś gigantyczna dekoracja nowoczesnego artysty, popełniona jakby w szale, by wzbić się coraz wyżej i wyżej i wśród krzyku wron spojrzeć z przepastnej wysokości wdół na zdumioną ciżbę ludzką. Analogje stają żywo przed oczyma. Jak blisko jesteśmy w naszej nowej, konstruktywistycznej architekturze tych kubistycznych form XIII i XIV wieku! Czy rozmach budowniczych średniowiecza, nie posiadających środków technicznych XX wieku nie był większy, niż naszych inżynierów, stawiających drapacze nieba? Włosi jak dawniej, tak i obecnie odznaczają się specjalnym instynktem w technice budowniczej. Ich krzywe wieże, kolosalne sklepienia świątyń, ich mosty mówią nam o tem. Owe wieżyce nietylko służyły celom obronnym, ale również są dowodem nieprzepartej pasji budowania i imponowania sąsiadowi posiadaniem wieży wyższej, niż jego. I dziś jeszcze, gdy zamilkła burzliwa historja wojen Sieny z Florencją, krwawych walk Gibellinów z Gwelfami i zdobywczych wypraw kondonierskich — a lud tutejszy jedynie po krzykliwych dyskusjach w trattorjach wraca na spoczynek w stare, ciasne domy — wieże zdają się rosnąć, jakgdyby niższe chciały prześcignąć wyższe, jakgdyby nie koniec był jeszcze ich narastaniu. Po dniu dalszych obserwacyj i badań nad tutejszemi kościołami i pinakoteką z niezwykłemi freskami Gązzoliego, Pinturicchia, Ghirlandaia i innych wróćmy na Piazza del Erbe. Słońce zapada za wzgórzami. Nastaje pożądany chłód. Widok nabiera jeszcze więcej siły dramatycznej. Sylwety budowli i wieżyc i ciasno stłoczone zarysowują się ciężko w posępnej swej ekspresyjności a czarne ich geometryczne kadłuby wyrastają z bruku wyzywająco groźnie. Ku ich szczytom zlatują z wrzaskiem na noc kruki. W loggji przy Palazzo del Podestà rozbłyska światło w żelaznej kutej lampie przed starym freskiem z Madonną. Obywatele rozpoczynają w trattorjach i przy stolikach ulicznych głośne rozmowy na aktualny temat abisyński. Dużo przy tem wina i gestykulacji. Smukłe, ładne dziewczęta toskańskie krążą i odbywają wieczorną paradę. To dzisiejsze życie na tle monumentalnej średniowieczczyzny daje soczysty i porywający obraz kontrastów. Z kościoła S. Agostino wychodzi na plac osobliwa procesja. To jakieś bractwo religijne z kapucami zapuszczonemi na głowę i świecami w ręku podąża majestatycznie w ciemne gardziele uliczek. Wizja wprost wstrząsająca i patetyczna.

San Gimignano jest wymarzonem miejscem studjów dla malarzy, estetów i historyków. Fizjognomja jego architektury, pełna hieratycznej prostoty staje nam przed oczyma jako prototyp sztuki kubistów i nowoczesnej konstrukcji dekoracyjnej. Tu jest wyjątkowe wprost miejsce dla misterjów i teatru. A dla człowieka szarej północy już samo życie tutejsze jest fascynującym teatrem. Lecz nie wystarczy zjawić się tutaj na 2 godziny autem. Należy przeżyć tu dzień, noc i świt.

Poniżej: Piazza del Erbe w San Gimignano.

CIEKAWE DROBIAZGI

Czy to nie przesada?



W Stanach Zjednoczonych wszystko jest możliwe, o czem zresztą nieraz już można się było przekonać, tym razem jednak spotykamy się z wypadkiem, który przekracza zdolność zrozumienia mieszkańca Starego Świata. Oto znana zresztą artystka sceniczna i śpiewaczka popularnych piosenek marynarskich, mrs. Ginger Rogers, została przez gubernatora północno - amerykańskiego stanu Texas zamianowana honorowym admirałem floty Stanów Zjednoczonych! W nominacji jako tytuł do nadania tej oryginalnej godności podano, że panna Rogers przyczyniła się znacznie swemi występami do spopularyzowania floty wśród szerokich sfer i podniesienia jej moralnej atrakcyjności! W ten więc sposób p. Ginger Rogers najlepiej werbowała żołnierzy na statki amerykańskie. Na naszem zdjęciu widzimy piękną Amerykankę, niestety, jeszcze w stroju „cywilnym"!

Jak zostać dobrą żoną?



Przemyślny i praktyczny Niemiec uczy się wszystkiego w sposób nader systematyczny, to też nic dziwnego, że p. Lina Lejeune założyła ostatnio w małem turyngskiem miasteczku Eisenach szkołę dla przyszłych żon. Z całą pedanterją uczą tam wszystkich sztuk, których przyszła małżonka będzie potrzebowała w swoim nowym domu. Poszczególne więc wykłady obejmują sztukę kulinarną, chowanie dzieci, utrzymanie mieszkania w porządku, a wkońcu zachowania się wobec męża. Na naszem zdjęciu widzimy lekcję poglądową, mającą uczenicom wykazać, jak należy przed wyjściem męża na miasto zająć się stanem jego garderoby, oczyścić ubranie, nie wzbudzając równocześnie z jego strony protestu lub miny znudzenia.

Wśród wielu szkół, jakie się zakłada w ostatnich czasach, szkoła dla przyszłych żon zdaje się być nadwyraz celową i spełniającą doniosłą rolę. Zwłaszcza w społeczeństwie niemieckiem zapatrującem się praktycznie na zagadnienia życiowe, szkoła p. Lejeune może oddać duże usługi, kształcąc młode kobiety na ideał żony.

Akumulator słoneczny.



Oddawna już wielu uczonych korcił fakt, że ciepło słoneczne, które codziennie przenika na ziemię, w niewielu tylko wypadkach zostaje odpowiednio wykorzystane. Starali się więc oni wybudować odpowiednie aparaty celem wykorzystania energji słonecznej, używając w tym celu skomplikowanych soczewek, których zmontowanie kosztowało jednak bardzo wielkie sumy. Ostatnio pewien hiszpański wynalazca Jose Ylla Conte zbudował na jednej parceli fabrycznej w Barcelonie aparat swego wynalazku, składający się z licznych soczewek a poruszany odpowiednim motorem. Soczewki zależnie od stanu słońca skierowują się w jego kierunku, stając się w ten sposób jakby akumulatorem energji słonecznej. Oto z trudem wzniesiony i nader skomplikowany aparat słoneczny.

Jak stwierdzić choroby nerwowe?



Ogólne zainteresowanie sfer naukowych Londynu wzbudziło zainstalowanie w piwnicy w National Hospital wysoce oryginalnego i skomplikowanego aparatu, zapomocą którego można stwierdzić stopień nerwowości pacjenta, jak również różne rodzaje zachorzeń nerwowych. Przy pomocy różnych pytań, zadań rachunkowych, ale również przez pewne działania fizyczne, jak kładzenie lodu na kolanach i t. d. uczony konstruktor aparatu stwierdza o ile badana jednostka odbiega od normalnego poziomu zdrowego człowieka. Należy przypuszczać, że również i inne szpitale zaopatrzą się w ten aparat, który, jak dotychczas, zdał dobrze egzamin.

NA SZLAKACH PODWODNEJ KRAINY...



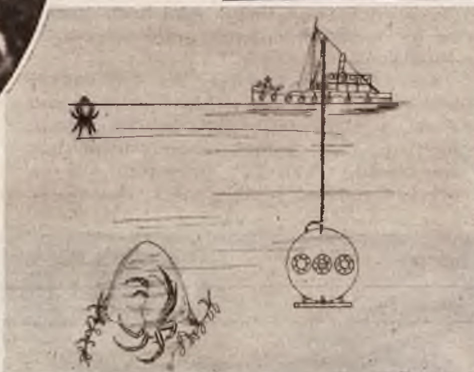
Dr. William Beebe w okienku swej batysfery.

Czasy, w których żyjemy, to okresy wielkich odkryć i rekordów. Niezmiernie doniosłe wyniki badań w dziedzinie fizyki, chemji, a przedewszystkiem odkrycie ciał promieniotwórczych i elementów budowy materji, odsłonięcie miljonów ciał niebieskich i nowych światów przy pomocy olbrzymich teleskopów, wdzieranie się coraz dalsze w mikrokosmos, zdobycie stratosfery — oto niektóre z ostatnich zdobyczy mieszkańca ziemi. Za wielkiemi odkryciami naukowemi idzie rozwój techniki. To co parę wieków jeszcze temu było niedostępne nawet dla najmożniejszych tego świata, stanowiąc nieosiągalne marzenie i przedmiot fantastycznych klechd i baśni, staje się obecnie możliwe dla każdego, że wymienić tylko podróż samolotem czy radjo. Coraz intensywniej dąży człowiek do owładnięcia całym globem, zdobywając nieliczne już pozostałe najwyższe szczyty, opanowując coraz większe obszary polarne i próbując głębokiemi wierceniami wedrzeć się coraz dalej w głąb ziemi. Do najmniej zbadanych części globu ziemskiego należą głębie oceanów, kryjące wiele jeszcze tajemnic.

Próby dotarcia człowieka w głąb pod powierzchnię wody są bardzo stare. W swych pierwotnych usiłowaniach próbował człowiek naśladować współmieszkańców ze świata zwierzęcego, czy to drobne krętaczki, zataczające szybkie kręgi na powierzchni wód i nagle nurkujące, czy niektóre larwy owadów, spacerujące po dnie, a pobierające powietrze z nad powierzchni wody przy pomocy wyciągniętej rurki, czy wreszcie zmyślnego pająka wodnego, spuszczającego się pod wodę, gdzie buduje sobie dzwon powietrzny. (O życiu tego pająka pisaliśmy w Nr. 17 „Asa": „Mieszkaniec srebrzystego pałacu" Przyp. Red.).

Dr. Beebe wraca z podmorskiej wędrówki..





Porównanie między dzwonem pająka wodnego, a batysferą dr. Beebe'a.



Sztych, przedstawiający dzwon powietrzny fizyka Halleya z 18 wieku.

Pierwsze próby nurkowania związane są ze zdobywaniem ostryg i poszukiwaniem pereł. W starożytnych ruinach babilońskich z przed 6000 lat znajdują się inkrustacje z masy perłowej, zbieranej przez nurków i używanej przez ówczesnych rzemieślników; perły znane są również z najstarszych wykopalisk egipskich i bardzo dawnych zapisków chińskich. Wzmianki o nurkach znajdujemy w Iljadzie Homera i u greckiego historyka Tucydydesa, opisującego oblężenie Syrakuz, podczas którego ateńscy nurkowie mieli przepiłowywać podwodne palisady, zbudowane przez Syrakuzan dla niedopuszczenia statków nieprzyjacielskich. Arystoteles opisuje pierwsze rzyrządy używane przez nurków do oddychania, przez które mogli oni wciągać powietrze z nad powierzchni wody. Już wtedy zaobserwowano zwiększające się ciśnienie w miarę posuwania się wgłąb, powodujące wypadki pękania bębenków w uszach. Współcześni mu poszukiwacze gąbek korzystali z powietrza, dostarczanego w spuszczanych okrągłych naczyniach, odwróconych wklęsłą stroną nadół. Było to jednak naogół przedsięwzięcie niebezpieczne; naczynie bowiem musiało być opuszczane dokładnie w pozycji pionowej, a w razie nieznacznego nawet przechylenia woda wdzierała się do jego wnętrza, wywracając naczynie i zagrażając życiu nurka. Za panowania Perseusza wydobywan już temi prymitywnemi sposobami zatopione skarby, jak dowiadujemy się o tem od Liwiusza.

Liczne opowieści opisywały spuszczanie się Aleksandra Macedońskiego w szklanej beczce do morza. Beczka ta miała posiadać w dnie małe drzwi, dzięki czemu można było zbierać perły z dna morskiego. Według tych opisów, cieszących się wielką poczytnością zwłaszcza w średniowieczu, znanych także i w Polsce, beczkę tę spuszczono na łańcuchach, długich na 90 metrów.

W wiekach średnich i w czasach nowszych ponawiano próby spuszczania się na dno rzek (np. Renu) czy mórz przy pomocy odwróconego kotła, który zwykle obciążano ołowiem. W wieku XVII spotykamy się z używaniem dzwonów nurkowych w Anglji, gdzie próbowano ich używać do wydobywania skarbów. Szczególnie znanym był ulepszony dzwon nurkowy Halley'a z XVIII wieku, zbudowany szczelnie z drzewa i posiadający kran do wypuszczania zepsutego powietrza; zapas świeżego powietrza stale mógł być uzupełniany zapomocą dwóch baryłek, które na zmianę spuszczano z góry, a zawarte w nich powietrze wpuszczano do wnętrz dzwonu. Halley wynalazł również skórzany kaptur do nurkowania, połączony długim wężem skórzanym, nasyconym woskiem i olejem, przy pomocy którego nurek mógł czerpać powietrze z dzwonu i dosyć sworyb czy zbierania pereł lub podobnie oddalać się dla połowu



Moment spuszczania batysfery w głębiny oceanu — przy lince kontrolnej Otis Barton.



„Sagitta" — rybki, przypominające swym wyglądem torpedy.

szukiwania zatopionych skarbów. Dalsze ulepszenia przyniósł wiek XIX, naogół jednak głębokość, do której potrafiono dotrzeć, nie przekraczała 100 metrów.

Ogromny postęp w dziedzinie badań głębokomorskich zawdzięczamy niestrudzonemu badaczowi amerykańskiemu, który od wielu lat poświęcił się całkowicie badaniom oceanicznym, a w szczególności problemowi dotarcia wgłąb oceanów, zazdrośnie kryjących jeszcze wiele tajemnic. Dr. William Beebe, obecny dyrektor Depart. Badań Podzwrotnikowych nowojorskiego Tow. Zoologicznego jest znanym przyrodnikiem, przeprowadzającym od przeszło 20 lat różnorodne badania naukowe i podejmującym podróże i wyprawy, największe jednak jego zasługi są związane z badaniem życia podmorskiego.

Pierwszy etap w badaniach Beebe'a stanowiło opuszczanie się na dno morskie przy pomocy drabinki sznurowej w miedzianym chełmie, oszklonym na przodzie i zaopatrzonym w gumowego węża dla pobierania powietrza. Przeważnie wystarczało mu opuszczanie się do głębokości 12 metrów, najpiękniejsze bowiem kobierce raf koralowych znajdują się na tych a nawet i mniejszych głębokościach. Do robienia notatek i rysunków używa Beebe tabliczki cynkowej, pod wodą powstają również barwne szkice olejne na sztalugach, obciążonych ołowiem, przyczem nieraz trzeba usuwać z palety roje drobnych rybek, zwabionych nęcącym zapachem farb.

Dla zdobycia okazów ryb używał zwykle Beebe siatki, ogłuszając upatrzone ryby nabojami dynamitowemi, które mogły mu równocześnie służyć jako broń obronna na wypadek napaści przez większych drapieżców morskich.

Do r. 1930 zadowalał się ten badacz wkładaniem hełmu i chodzeniem pod wodą w głębkości kilku lub kilkunastu metrów, stale jednak przemyśliwał nad sposobami, któreby pozwoliły mu na przekroczenie tej głębokości. Posuwanie się do głębi większej niż 18 metrów stanowi duże niebezpieczeństwo dla bębenków usznych, wobec silnie zwiększonego ciśnienia. Używanie specjalego kostjumu nurkowego związane jest z wieloma trudnościami przy przeprowadzaniu badań podwodnych. Wystarczy powiedzieć, że kostjum składający się częściowo z metalu, którYby pozwalał na opuszczanie się do głębokości ok. 150 metrów waży blisko 300 kg., skutkiem czego ruchy nurka są niezmiernie ograniczone.



Potworne paszcze, silnie fosforyzujące na tle atramentowo-czarnej głębiny oceanu — to pierwszy widok, który uderza obserwatora, zamkniętego w kuli batysfery.



Szablastozęba „wiperoryba" (Chauliodus sloanei). — Na lewo: Potwory morskiej głębiny, krążące w pobliżu batysfery na głębokości 900 m.

Po odrzuceniu pierwszych projektów, według których miano próbować opuścić się w większe głębokości w stalowym cylindrze, zdecydwano się na zbudowanie stalowej kuli o wyjątkowo mocnej konstrukcji i wytrzymałości na duże ciśnienia, zaopatrzonej w przeźroczyste okienka, przez które możnaby dokonywać obserwacyj. Oprócz Beebe'a, który najwięcej tej sprawie poświęcił czasu i energji, w pracach nad jej skonstruowaniem brali udział Otis Barton i kap. John Butler. Jednym z pierwszych, który rzucił myśl skonstruowania stalowej kuli dla spuszczania się w dalekie głębiny, był prezydent Teodor Roosevelt.

Sama kula była dosyć prosto zbudowana. Średnica jej wynosiła prawie półtora metra (144 cm), tak że nie można było w niej stanąć. Ściany jej posiadały grubość ponad 3 cm, tak, że ważyła ona przeszło 300 kg. Okienka w kuli wykonano z topionego kwarcu, który okazał się najmocniejszym z przeźroczystych materjałów, przepuszczającym równocześnie fale świetlne wszystkich długości. „Drzwi" stanowił niezbyt duży otwór, przez który szczupły człowiek mógł się wsunąć do środka, zamykany możliwie dokładnie i szczelnie.

Kulę spuszczało się na stalowym kablu grubości ponad 2 cm i o wytrzymałości 10 razy przewyższającej ciężar kuli. Składał się on ze stalowego ośrodka i około 100 linek oplatających go w różnych kierunkach. Przy długości ok. 1 km, ważył on po zanurzeniu 2 tonny.

Problem zaopatrzenia mieszkańców stalowej kuli w powietrze został rozwiązany przez umieszczenie wewnątrz cylindrów z tlenem oraz połączeń chemicznych, które pochłaniały wytwarzający się dwutlenek węgla i wilgoć. Przez ściśle uszczelniony cylinder wchodził do kuli kabel elektryczny, dostarczający światła i druty telefoniczne, umożliwiające komunikację z powierzchnią. Silny reflektor elektryczny pozwalał na fotografowanie i filmowanie przepływających ryb i innych zwierząt.

Z wiosną 1930 r. marzenie Beebe'a miało zostać urzeczywistnione: batysfera (tak nazwana od greck. batys — głęboki) była gotowa. Wraz z potrzebnemi częściami i aparatami została przewieziona na Bermudy, gdzie już

Dokończenie na str. 31 ->



TRZEJ KRÓLOWIE

Napisał: Wł. J. Turzański. **NOWELA.** **Ilustr.: Janiny Siutówny.**

Petro był czarny, jak asfalt. Skóra jego lśniła się tłustą sepją i leżąc nawznak, podobny był do posągu ulanego ze smoły. Białka jego oczu były przekrwione, a zachrypły głos, którym śpiewał sprośne piosenki, zdradzał, że jego właściciel jest opojem.

Ale Petro był nietylko pijanicą. Nietylko nicponiem i leniuchem. Petro był szubrawcem. Tak! Dusza jego była ciemniejsza od jego skóry i Petro wiedział o tem i, co ciekawsze, nie bił się w piersi i nie kajał się w pokucie, ale leżąc na plecach, szczerzył zęby do dziewek i śpiewał zupełnie swawolne piosenki.

O'Ney uderzał tymczasem widelcem w pusty dzban i od czasu do czasu zawodził. O'Ney był żółty. Ze skośnych oczu, z kwadratowej twarzy i ze skośnych zwinnych palców tryskała żółć. W stosunku do Petra wyglądał drobno, ale w całej jego postaci było coś drapieżnego. O'Ney był niebezpiecznym łotrem. Poszukiwały go sądy kilku stanów w Ameryce Północnej i tylko dzięki niezwykłemu zbiegowi wypadków O'Ney nie skończył w Sing Sing, ale siedział oto i najspokojniej w świecie uderzał w dzban.

Człowiekiem, który grał na gitarze, był człowiek biały. Twarz jego o rysach nieco pospolitych, przecięta była blizną na wysokości wcale pięknego wąsa. Biały był również łotrem. Znało go osobiście kilku prefektów policji, a puste cele więzienne w kilku państwach tęskniły wyraźnie za jego towarzystwem. Antonio był jednak w doskonałym humorze i, uderzywszy w struny gitary, zaśpiewał:

„Gdy kieszeń bracie pusta,
weselej krąży krew —
piosenką zwilżam usta
i piję słodki śpiew!"

Poczem wszyscy trzej podchwycili: „Piosenką zwilżam usta i piję słodki śpiew". Zapewne zwabiony odgłosem piosenki, z oddali wynurzył się policjant i prosto podążył do śpiewającej trójki. Nie był to wąsaty wachmistrz żandarmerji w podkutych butach i z parą pistoletów za pasem, ale taki zwykły, małomiejski policjant: nogi jego były bose, a z boku chwiała się groźnie drewniana szabla. Podszedł bliżej i zapytał głośno:

— Czemu hałasujecie?

— Śpiewamy — odpowiedział Petro — i jeżeli ci dokucza nasz śpiew, to idź do wszystkich djabłów!

Antonio uśmiechnął się słodko i przeciągając się, jak to czasem czyni kotka, dodał:

— Nie słuchaj tego czarnego negra i podejdź bliżej przyjacielu sprawiedliwości. Oby republika Costa Grandioza miała więcej takich, jak ty synów. Podejdź bliżej i zapal!

To mówiąc, dobył z kieszeni garść tytoniu i liść kukurydziany.

— Jesteście zapewne obcy i nie znacie tutejszych stosunków. Tutejszy szef policji nazywa się Jerod — rzekł policjant.

— Powiadasz, nazywa się Jerod?

— Tak jest, nazywa się Jerod i jest okropnie surowy...

— Jest surowy, powiadasz?

— Okropny służbista i każdego włóczęgę przymyka zaraz do paki... Mnie samego...

— Zapewne było to bardzo dawno. Teraz jesteś dzielnym stróżem ładu. Sądzisz zatem, że jesteśmy włóczęgami?

— Tak nie mówiłem! Nic nie sądzę. Siedzicie jednak i śpiewacie głośno wesołe piosenki. Powinniście raczej zaśpiewać kolendy. Tak jest, raczej kolendy!

Petro, który przez cały czas rozmowy, leżąc nawznak, puszczał błękitne kółka dymu, zwrócił się do policjanta:

— Synu prawa! Odejdź teraz pośpiesznie i nie oglądaj się, albowiem na głupiej głowie twojej rozbiję oto ten pusty dzban!

— — — — — — — — —

Szef policji „Perły Republiki, książęcego miasta Estamba" był również boso. Nogi jego tkwiły wprawdzie w pantoflach, ale były to nogi koloru matki-ziemi, a barwa ich, oraz kształt kazały nieostrożnemu widzowi przyrównywać je do krzepkich nóg hipopotama lub tapira. Po jego otyłem ciele sączył się pot. Mimo porannych godzin, mimo tego, że słońce nie wzbiło się jeszcze wysoko, dymił cały, jak mała prowincjonalna lokomotywa. Malutkie oczka poruszały się żywo, z jakąś złośliwą inteligencją, a czerwona od potu twarz ociekała tłuszczem. Cienkie wąsy metysa przechodziły w dwa ostre stalaktyty, z których sączyła się wilgoć. Głos jego był tubalnym głosem leśnego karibu. Krzyczał:

— Widziałeś na przedmieściu trzech włóczęgów?

— Widziałem trzech włóczęgów. Jeden z nich był czarny, drugi...

— Drugi?

— Drugi był żółty. Tak jest, maestro. Żółty był i wyglądał jak Chińczyk. Trzeci zaś był...

— Trzeci był pewnie czerwony?

— Nie, senor! Trzeci był biały. Miał wąsy, ale mówił słodko, jak panna. Grali na gitarze i śpiewali, kiedy przyszedłem. Siedzieli w cieniu kaktusa. Wtedy przyszedłem i nakazałem spokój. Kiedy zrobili się potulni, jak owieczki, kazałem im iść do wszystkich djabłów...

— Byli w mieście?

— Tak senor. Chodzili po ulicach i oglądali wystawy. Chwilę zatrzymali się przed bankiem Mankersa. Do kantoru wstąpił ten biały. Poczem wszyscy trzej poszli do kościoła...

— I cóż dalej? Mów nieszczęśniku!

— W kościele zmówili modlitwy, poczem wyjściem przez zakrystję weszli do szopy przykościelnej. Odbywały się tam próby jasełek, którym przewodniczył senor kanonik Enrico de Albamavera.

Odźwierny nie chciał ich wpuścić, ale senor kanonik, ujrzawszy ich, zaklaskał w dłonie i krzyknął: „Patrzcie! Przyszli Trzej Królowie". Poczem pozwolił im wejść, a oni ucałowali jego rękę. Wszyscy śmiali się; zaglądałem przez szparę i nie widziałem wszystkiego dokładnie. Zdaje się jednak...

— ???

— Zdaje mi się jednak, że chcieli koniecznie zobaczyć króla żydowskiego, który nazywa się... nazywa się...

— I cóż dalej! Oglądali tego... żydowskiego króla?

— Tak senor. Kiedy wszedł Herod, wszyscy poczęli się śmiać. Ten czarny łotr położył się na ziemi i począł się tarzać ze śmiechu. Ten biały szubrawiec, to aż się popłakał. Tak senor... płakał i śmiał się...

Twarz szefa policji w Estamba była sina, jak szmelcowana stal. Wewnątrz kipiał gniew. Gdyby go można było porównać do zagwożdżonego czopem wulkanu, porównanie to byłoby trafne. Nagle Jerod dźwignął swoje 170 funtów żywej wagi. Ryknął strasźliwym gniewem. Muchy śpiące na suficie zbudziły się. Na ulicy jęli przystawać przechodnie.

Don Jerod szalał.

Gospoda pod „Nietoperzem" jest domem wcale zacisznym. Prowadzi tam aleja wysokich, wysmukłych kaktusów, które szczególnie wieczorem, robią wrażenie szpaleru milczących, tajemniczych postaci. Droga wycięta jest w skale; kiedy zaświeci księżyc, płatki miki lśnią się, jak złoto. Sama gospoda ma werandę, po której pną się kiście słodkiego wina. W pokojach okna nie mają wprawdzie szyb, ale uzbrojone są okiennicami, otwieranemi nazewnątrz. W jednym z pokoi siedziało właśnie trzech mężczyzn, a jeden z nich, nalewając wino do szklanek, mówił:

— Jestem czarny. Ale dusza moje jest bardziej czarna od mojej skóry. Dziś, kiedy byłem w kościele, przypomniały mi się lata dziecięce. Rodzice moi byli ubodzy, ale zato szczęśliwi. Chciałbym przeto być tak szczęśliwy jak mój ojciec. Chciałbym być uczciwym człowiekiem. Pragnąłbym uderzyć się w piersi i szczerze żałować za moje grzechy.

To mówiąc Petro, otarł łzę, która nie była czarna, ale jasna i czysta. W tej samej chwili coś ruszyło się na podwórzu i zaszczekał pies. O'Ney zaglądnął przez okno i nie zobaczył niczego, prócz dużego, czerwonego słońca, schylającego się ku zachodowi. Daleki łańcuch górski ociekał szkarłatem i srebrem lodowców. Łąki były już fioletowe od mgieł.

— O tak, mówił teraz Antonio. Nie znałem moich rodziców, ale sądzę, że byli również uczciwymi ludźmi. Syn ich zaś jest wielkim szubrawcem. Stawałem wiele razy przed obliczem sędziego. Byłem rok w karnych robotach. W Mantenegro pchnąłem rywala nożem w pierś... Żałuję za moje grzechy, ale niema dla mnie ratunku. O niema...

I począł toczyć ponurym wzrokiem po ścianach. O'Ney, który stał tyłem do przyjaciół, bił się w piersi i szeptał coś w swoim języku.

Kiedy słońce wtuliło się całkiem w górskie ramiona, Ojciec Henryk de Albamavera, który przypadkowo przechodził obok gospody pod „Nietoperzem" i na chwilę zatrzymał się pod jednem z okien, żwawo teraz podążał na plebanję. Twarz jego była pogodna, a mądre oczy uśmiechały się...

Nagle zobaczył jakiś cień, kryjący się w alei. Przez chwilę zdawało mu się, że widzi sylwetkę miejskiego policjanta. Cienie jednak stawały się coraz bardziej gęste, a ponieważ staruszek już niedowidział, przeto podążył na plebanję, pragnąc tam być przed zapadnięciem nocy.

O świcie uliczkami miasta Estamba przeciągnęła dziwna kawalkada. Peoni dążący do miasta na targ, kobiety niosące wodę ze studni, górnicy śpieszący do kopalń, przystanęli na chwilę, ażeby popatrzeć. Była to gromada jeźdźców i pieszych. Na czele jechał szef policji don Jerod. Nie był to bosy człowiek w rozpiętej na piersiach koszuli. O, nie! Jechał na tęgim dzianecie, ubrany w granatowy mundur, z żółtemi wyłogami. Ramiona jego i spodnie były bogato szamerowane srebrem. Szeroka pierś gladjatora ozdobiona była medalami. U boku chwiała się złocona szabla, nogi tkwiły w wspaniałych, wysokich butach z ostrogami, a głowę zdobił mosiężny hełm. Zaiste... tak musieli wyglądać cezarowie i wielcy zdobywcy, tak zapewne wyglądał św. Jerzy po zabiciu smoka... tak don Jerod de Estamba jechał ulicami miasta.

Poczet jego robił wrażenie mniej imponujące. Żołnierze jego za wyjątkiem trzech, szli pieszo, a nogi ich były, jak zawsze — bose. Podrzucali do góry sombrera i palili na wiwat z pistoletów, dodając sobie animuszu. Głowy ich były spuszczone. Jeden z nich był czarny. Drugi robił wrażenie żółtego. Trzeci niósł pod pachą gitarę. Peoni i mieszczanie, widząc jeźdźców i słysząc strzały, pewni byli, że garnizon, stojący w Mantenegro, zbuntował się i że wracają [illegible] łucji i wojny domowej. Twarze mężczyzn stały się drewniane i drapieżne zarazem, a kobietom do oczu zaczęły napływać łzy. Don Jerod mijał zaś ludzi wspaniały, tak właśnie triumfujący, jak zwycięzca wkraczający do podbitego grodu.

— — — — — — — — —

Don Jerod był źródłem i ramieniem wszelkiej władzy. Od czasu, kiedy „nieznani sprawcy" powiesili sędziego Giomeza, był nietylko szefom policji i komisarzem miasta, ale i sędzią. Sądził też wszelkie drobniejsze sprawy, sam mieniąc siebie specjalistą od spraw majątkowych. Było tak, albowiem morderców, gwałcicieli i świętokradców sądził tłum i nie było takiej siły w Estamba, któraby uratowała bandytę, schwytanego z bronią w ręku, z rąk tłumu.

Obecnie don Jerod rozparł się wygodnie w swoim fotelu, ustawionym w ogrodzie i nakazał ludzkiej ciżbie ręką spokój, poczem zwrócił się do trzech ludzi skutych, których miał sądzić. Począł mówić. Mówił pięknie, aczkolwiek dusiła go astma i zalewał pot.

Zdumionym uszom mieszczuchów usłyszało się, że od miasta zakradli się trzej złoczyńcy. Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie winy ciążą na ich sumieniach. Faktem jest, że ten biały łotr w Mantenegro pchnął nożem w pierś robotnika i że poszukują go sądy. Wszyscy trzej przybyli do Estamba w złych zamiarach. Oko władzy spoczywało na nich oddawna i w wyniku śledztwa okazało się, że planowali... że złoczyńcy ci planowali...



W zakratowanem okienku ukazała się ręka...

Ten szef policji, sędzia i komisarz miasta zarazem zatrzymał się, pragnąc zbadać, jakie jest wrażenie jego słów. Twarze słuchaczy były jednak zgaszone. Sędzia, przypisując ten fakt zmęczeniu wywołanemu gorącem, ciągnął dalej:

— Złoczyńcy ci planowali napad na bank Mankersa oraz ograbienie kościoła parafjalnego.

Don Jerod rzucił te słowa, tak, jak rolnik rzuca ziarno i czekał triumfujący na ich skutek. Jakoż po tłumie przebiegł szmer oburzenia.

Ludność Republiki mimo wszystkich swoich wad miała jeden skarb niezastąpiony: była katolicką, nawskroś katolicką. I nagle Jerod uczuł sam, jak bardzo ci trzej ludzie [illegible] teraz bardzo chrześcijańskim. Wzruszył się. Kornie, jak owieczka spuścił głowę. Głosem miodopłynnym dorzucił:

— Kto wie, czy prócz okradzenia kościoła... tak, czy prócz tej nikczemnej kradzieży nie planowali oni też morderstwa na świątobliwym kanoniku Enrico de Albamavera? Są bardzo poważne dowody...

Tłum zafalował od środka nazewnątrz i spowrotem do środka. Pomruk ciżby ludzkiej podobny był do szumu wzbierającej rzeki. Petro pobladł, a czarna jego skóra zrobiła się popielata, jak pył uliczny. Antonio czuł, że po grzbiecie skaczą mu ciarki. Jeszcze chwila, a...

Nagle czyjś znajomy, poważny głos przemówił. Słowa były proste i mocne. Jeżeliby słowa mogły mieć barwę, to były to słowa słoneczne. Tłum rozstąpił się; ksiądz Enrico de Albamavera mówił:

— Nie naszą rzeczą jest dawać wyroki i potępiać. Ludzie ci — rzekł, wskazując na podsądnych — są biedakami bez pracy. Nie wiem, jak jest wielka ich wina, ale wczoraj wysłuchałem ich spowiedzi i patrzyłem na ich skruchę. Bezwątpienia nie są bez winy. Kto jest jednak wśród nas bez winy, niechaj pierwszy rzuci na nich kamieniem. Któż z nas jednak jest świętym? Kto moje dzieci? Kto?

I czcigodny kanonik uśmiechnął się jednym ze swoich najlepszych, najcieplejszych uśmiechów. Przed laty był on oficerem gwardji. Zasłuchał się tedy w siebie i w milknący tłum. A szef policji Jerok fuknął gniewnie. Obudził się w nim dawny radykał. Posiniał, a gniew, który w nim powstał, zatykał mu gardło.

— Oczywiście! Skąd ten klecha — myślał — przychodzi się wtrącać do nieswoich spraw? Zrobię doniesienie do arcybiskupa. Tak, doniesienie i skargę do samego prezydenta...

Tymczasem tłum rozchodził się i malał w oczach. Napięcie opadło. Ludzie robili się apatyczni i czekali na coś, co było nieuniknione. A Jerod, dając upust wściekłości, kazał podsądnych ochłostać i przymknąć ich. Kiedy więc w powietrzu rozświstał się bat, plac był całkiem pusty, a słońce prażyło prostopadle. Było południe.

— — — — — — — —

Noce na południu są piękne. Są jednak szczególnie piękne, jeżeli świeci księżyc, a niebo, góry i doliny toną w seledynowej poświacie.

— Siedzieć w taką noc pod więzieniem i nasiąkać wilgocią — mruczał miejski policjant — to nie jest wielka przyjemność. Zdaleka dopływają odgłosy śpiewów i słodkie tony grającej harmonji.

— Oczywiście, psi los — mruczał policjant.

— Psi los, tak jest — odpowiada głos z okienka.
— Jest chłodno i wilgotno.
— Jest bardzo chłodno, a rosa jest szczególnie mokra i dociera wszędzie.
— Gardło natomiast jest suche.
— Gardło okropnie wysycha, a żołądek prosi o łyk wina... Gdyby tak jednak...
— Gdyby tak jednak?
— Gdyby tak jednak pójść po dzban wina...
— O, gdyby pójść... — wartownik westchnął.

W zakratowanem okienku ukazała się ręka. W dłoni spoczywała lśniąca moneta. Pokusa była silna i miejski policjant poskrobał się zakłopotany w głowę. O kilkanaście kroków opodal stała gospoda, w której można było kupić kawał pieczonej baraniny i litr ciepłego wina. Zapach baraniny docierał aż do jego duszy. Wino jest czerwone, gorące i wali w skroniach młoteczkami...

Walcząc z sobą, podchodził do okienka. Był głodny. Kupi im coś do zjedzenia i przytem sam coś zje. Zresztą może im nic nie dać. Są to bandyci, którym się nic nie należy. Oczywiście, nic im nie da. Nic!

Z tem mocnem postanowieniem sięgnął po monetę. Wtedy ręka wydłużyła się, jak czarna błyskawica i schwyciła go za gardło. Ucisk był mocny i dławił, jak pętlica lassa. Wartownik ujrzał na niebie trzy księżyce w moment później usłyszał trzask. Był pewien, że jest to trzask jego własnych kości, bowiem zaczął się zapadać w czarną noc, z której nie było pozornie powrotu.

Petro zaś po wyłamaniu drewnianych krat w okienku wyjrzał ostrożnie na świat, podobnie, jak zły kundel wystawia łeb z budy. Oczy jego były nabiegłe posoką, żyły na twarzy wystąpiły pod skórą, a w wyrazie twarzy było coś strasznego. Wyglądał, jak zbój.

— — — — — — — — —

Don Jerod źle spał tej nocy. Kilka razy budziło go szczekanie psów. Potem na piersiach usiadła mu zmora, typowa dla ludzi chorych na astmę. Czuł na piersiach rosnący ciężar, nie mógł się jednak poruszyć. Zaczął się w sobie szamotać, przyczem ocknął się, roztworzył oczy i oniemiał z przerażenia. Sen trwał w dlaszym ciągu, a na piersiach siedziało mu coś ciężkiego, czarnego, coś, co miało białe zęby strzygi i płonące oczy puszczyka. Don Jerod przymknął powieki; upewnił się, że nie śpi i otworzył je spowrotem. Pewien był teraz, że na piersiach siedzi mu duża puma. Nagle zwierzę zaczęło się chichotać, jak to czyni człowiek szalony, a oblany zimnym potem senor Jerod uczuł na gardle ostry koniuszek noża. Zrozumiał...

— — — — — — — — —

Dnia następnego miasteczko Estamba zamieniło się w przedpiekle. Ludzie czekali na coś strasznego; lękano się powszechnie, że nastąpi trzęsienie ziemi, że zgaśnie słońce lub, że rzeki wystąpią z brzegów. Faktem było, że miejski trębacz obwieścił stan oblężenia, a kilku, Bogu ducha winnych, mieszczan zakuto w kajdany. Faktem też było, że trzej niebezpieczni bandyci zbiegli z więzienia. Szeptano pocichu, że bandyci mieli zapewne w mieście lub w okolicy spólników; mówiono o całej bandzie, posługującej się nietylko mordem i przekupstwem, ale i ciemnemi czarami. Stały się rzeczy wprost niesłychane. Don Jerod został znaleziony przykuty kajdanami do własnego łóżka. Usta miał zakneblowane ,a piękne jego wąsy konquistadora były zgolone. Prócz tego obrabowano go. Obrabowano go całkowicie z gotówki i co cenniejszych przedmiotów. Bandyci byli tak czelni, że uciekając, zabrali ze sobą konie don Jeroda, które, jak wiadomo, były najlepsze w okolicy.

Kowal, który przyszedł rozkuć szefa policji, spotkał u jego łóżka cyrulika, który mu puszczał krew. Ogólnie lękano się, że don Jeroda trąci apopleksja. Kiedy jednak około godziny trzeciej popołudniu doniesiono, że widziano kilku jeźdźców cwałujących drogą La Cool, w kierunku gór Sierra Las Papas, komisarz miasta dźwignął się z łóżka i wydał rozkazy co do pościgu.

Sam pościg miał być prowadzony pod jego osobistem kierownictwem, co oczywiście dawało rękojmię, że „wrogowie Republiki" zostaną unieszkodliwieni. Zatem tegoż jeszcze dnia, to jest w wigilję świąt Bożego Narodzenia, około godziny piątej popołudniu ruszono w drogę.

— — — — — — — — —

La Cool nie jest dużą wioską. Leży w kotlinie i jest zewsząd otoczona górami. Udają się tam wprawdzie winogrona, ale klimat jest chłodny, a ludność jest uboga. W samej wiosce niema szkoły ani kościoła; kilka razy do roku przyjeżdża tu ksiądz i wtedy odprawia on Mszę, udziela ślubów, spowiada, chrzci, lub święci groby.

Mieszkańcy La Cool trudnią się przeważnie pasterstwem. Znaczną część roku spędzają na halach i połoninach i wtedy wioska pustoszeje, a w dolinie zostają jedynie kobiety i dzieci.

Dziwił się tedy don Jerod, kiedy około dziesiątej w południe, po pełnej trudów nocy, wjeżdżał do wioski. Stare squaw i małe bachory, których zawsze było pełno, znikły. Natomiast drogę zastąpił mu tłum mężczyzn.

Don Jerod dufny w potęgę swojego urzędu i w siłę swojego orszaku, wyjechał nieco wprzód i pytał.
— Jechało tędy trzech ludzi?
— Jechało, senjor.
— Jeden z nich był czarny?
— Był czarny, jak smoła, senjor.
— Drugi był żółty?
— Tak jest, drugi był żółty.

Don Jerod uśmiechnął się triumfująco.



Pytali oni obcym akcentem o drogę do Betlejem...

Sięgnął ręką po wąs, ale chwycił tylko pustkę. Wyglądał jednak wspaniale. W szyszaku jego przeglądało się słońce. Pytał jednak dalej:
— A trzeci był białym łotrem? Co?

Wtedy szmer dziwny przeszedł gromadę ludzką, cisnącą się wokół jego konia. Jakiś starszy baca wystąpił naprzód i śmiało zapytał:
— Nazywasz go łotrem... A ty... a ty — kim jesteś?

Don Jerod przybladł nieco, poczem oglądnąwszy się na swoich, krzyknął:
— Jestem urzędnikiem Republiki i nazywam się Jerod. Słyszycie, don Jerod!

I więcej już nie zdołał niczego powiedzieć, albowiem dziesięć rąk schwyciło uzdę jego konia. Drugich dziesięcioro rąk zwlekło go z siodła. Ukamienowanego, skopanego i opluŧego z trudem wyrwali go z rąk tłumu jego podwładni. Byłoby doszło do rozlewu krwi, do czego wycofujący się ludzie z Estamba nie mieli ochoty. Don Jerod był nieprzytomny i tak dowieziono go spowrotem do miasta.

— — — — — — — — —

Tutaj kończy się właściwie cała opowieść. Można dodać, że po dzień dzisiejszy istnieją w La Cool ludzie, którzy widzieli trzech wędrowców. Jeden z nich był czarny. Drugi był żółty. Trzeci był białym człowiekiem, a wszyscy mieli na głowach korony i byli odziani w wspaniałe płaszcze królewskie. Pytali oni obcym akcentem o drogę do Betlejem; przybyli w nocy i wyruszyli na szlak przed świtem. Ścigał ich król żydowski Herod. Było to w noc wigilijną. Każde dziecko wie o tem, że byli to Trzej Królowie, którzy szukali Chrystusa.

Tylko kanonik Enrico de Albamavera w duszy swojej utajał oczekiwanie na coś, co jeszcze stać się miało. Jakoż dopiero po upływie roku, dnia pewnego pocztyljon zatrzymał przy plebanji swojego muła i podał księdzu dość ciężką paczkę. Była ona adresowana z Brazylji. Wewnątrz był list. W liście zaś Antonio, Petro i O'Ney donosili, że są teraz uczciwymi ludźmi, że znaleźli pracę i że odsyłają skradzione u księdza stroje jasełkowe, wierząc, że czcigodny kanonik dawno im już wszystko wybaczył.



Jedna z egzotycznych modelek Montparnasse'u.

MAN RAY

FOTOGRAF DUSZY KOBIECEJ

Ulica Campagne-Première znajduje się w pobliżu bulwaru Montparnasse, a jednak jest tak cicha i spokojna, jakgdyby u jej wejścia urywał się już nurt wielkiego miasta. Gdzieś daleko pozostał Paryż, szum i zgiełk bulwarów, klaksony samochodów, nawoływania sprzedawców ulicznych. Ta cicha uliczka mogłaby doskonale znajdować się na prowincji, a dom, do którego wchodzę, ma też charakter stateczny i raczej prowincjonalny.

Naciskam dzwonek na drugiem piętrze i zaraz otwierają się drzwi, jakoś bez szmeru. W drzwiach stoi niska, niepozorna postać. Oczy spod krzaczastych brwi spoglądają bardzo nieufnie. „Gnom pilnujący skarbów“ — przelatuje mi przez głowę. Takiem jest pierwsze wrażenie, jakie wywiera na mnie Man Ray, znakomity fotograf, Man Ray, najsłynniejszy odtwórca piękności kobiecej.

Rozglądam się za temi skarbami. Pracownia Man Ray'a jest dziwnie mała. „Dwadzieścia kroków wszerz i wzdłuż“. Jest to właściwie jeden pokój, z którego schodki prowadzą wgórę, do kabiny fotograficznej. Na ścianach wiszą specjalnie piękne zdjęcia. Pod ścianami szafki pełno szuflad, a szuflady pełne fotografij. Najpiękniejsze główki świata leżą grzecznie posegregowane w tych przedziałach, opatrzone datami i numerami. Cała pracownia odbija się — niby w krzywem zwierciadle — w dużej kuli szklanej, zwisającej z sufitu, takiej, jakiemi w ogrodach prowincjonalnych zdobią krzaki róż.

Kiedy wspominam Man Ray'owi, że chciałabym zabrać kilka jego zdjęć dla polskiego czasopisma, uśmiecha się ironicznie: „Aha — mówi — chce pani napisać artykuł o pięknych Paryżankach a zdjęcia Man Ray'a mają służyć jako ilustracje! Na to mnie pani nie weźmie“. Zaczynam mu więc tłumaczyć długo i przekonywująco, że gdyby tak było istotnie, zadowoliłabym się produkcjami fotografów, którzy fotografują manekiny z wielkich salonów mód. Ale tym razem mam zamiar pisać nie o pięknych Paryżankach, tylko o nim, Man Ray'u. Naturalnie jeżeli zechce mi coś o sobie powiedzieć... Np., na czem to polega, że jego zdjęcia mają to „coś“, co je odróżnia od innych, że fotografowane przez niego kobiety nie są podobne do żadnych innych?

— Umiem patrzeć — odpowiada krótko Man Ray, poczem zaczyna przede mną wysypywać zawartość swych niezliczonych szufladek.



W kole: Pracownia Man Raya — zdjęcie w kuli szklanej.

Skośnookie Chinki i Anamitki, długoszyje Angielki, ciemnoskóre Mulatki i zwycięsko piękne Amerykanki defilują przed mojemi oczyma. Czy są naprawdę takie piękne? Czy tylko ich piękność zdołał utrwalić artysta na kawałku szarego kartonu? Zdaje mi się, że coś więcej. Jakieś wilgotne lśnienie oczu, jakieś rozchylenie ust, jakiś wyraz zadumania, utajony między brwiami, sprawia, że przez te twarze z papieru prześwieca coś więcej, niż piękność... Co? Może dusza.

Man Ray pokazuje mi jeden ze swoich ostatnich wynalazków: ciemna linja obrzeża profil kobiecy na fotografji i czyni go podobnym do płaskorzeźby, do kamei. Obecnie jednak zajmuje się artysta głównie fotografją w żywych barwach. Robię uwagę, że zdjęcie jednobarwne, matowe ma dla mnie więcej artyzmu, niż zdjęcie w kolorach. Man R[illegible]śmiecha się: „To samo mówiono, gdy film dźwiękowy zastąpił film niemy. Ja uważam, że przyszłość należy właśnie do fotografji kolorowej!“

Patrząc na tę galerję głów kobiecych, smukłych ciał, prześlicznych nóg, rozumiem dlaczego Man Ray mieszka właśnie w Paryżu i właśnie na Montparnassie. Gdzież indziej znalazłby takie kotłowisko ras, typów, odcieni, z którego jego bystre oko wyławia od czasu do czasu, prawdziwą perłę!

Fotografje powędrowały znowu do szufladek, ciche zamknęły się za mną drzwi. Za drzwiami pozostała niepozorna postać o nieufnem spojrzeniu. Gnom pilnujący skarbów...

Jola Fuchsówna.

Poniżej: Oryginalny typ fotografji manray'owskiej, naśladującej płaskorzeźbę.
Wszystkie zdjęcia fot. Man Ray — Paryż.



STUDJUM TWARZY KOBIECEJ.
(Fot. Man Ray — Paryż).





Młody Hiszpan przybiera już klasyczne pozy toreadora.

Bardzo wiele młodych torerów hiszpańskich prowadzi pozatem życie rodzinne, co w patrjarchalnej Hiszpanji oznacza posłuszeństwo i karność. Najsłynniejszy dziś torero Manolo Bienvenida i słynny już dziś brat jego, Pepe, to młodzi chłopcy, których odwiedzić można tylko w pięknym mieszkaniu rodziców w jednej z najlepszych ulic Madrytu. Ojciec, Don Manuel Bienvenida, to były torero i wie, jak należy wychować synów, aby mieć z nich pociechę... To też wszystkich swych synów, a jest ich pięciu, oprócz małej laleczki — córeczki, wychowuje według swych zasad na dzielnych zabijaczy byków. Zabawy? Pijatyki? Awantury miłosne? Ale skąd znowu! Trochę języków, trochę historji arytmetyki, geografji, a przedewszystkiem trening i trening. Przyjemności i rozrywki ograniczają się do pogawędek w kawiarni z członkami „trupy", różnymi bandolerami i picadorami, których udziałem w walce byków jest rozjuszanie i podniecanie byka, a którzy w życiu prywatnem są nadzwyczaj spokojnymi mężami i ojcami rodzin. Czasami Manolo i Pepe wolno też iść do kinematografu, ale jedynie na popołudniowe przedstawienie od 7 do 9, bo wpół do dziesiątej muszą stawić się na kolację, a o 11-ej obowiązkowo iść spać. To też dzień takiego „półboga", jaki jest dziś dla Hiszpanji Manolo a zarazem młodego miljonera, bo wszak walczy conajmniej 80 razy do roku, a pobiera minimalnie 10.000 pesetów, upływa nader monotonnie. Trening zaczyna się z samego rana, kiedy to zerwawszy się ze snu Manolo przez dwie godziny biega, skacze, boksuje. Następnie zimny prysznic i śniadanie, składające się z talerza owoców. Przed śniadaniem zaś jeszcze kilka minut gorliwej modlitwy w kaplicznej domowej u stóp „Chrystusa o wielkiej potędze", patrona Sewilli, każdy bowiem dobry katolik w Hiszpanji ma swego Chrystu-



Mali kandydaci na toreadorów przeprowadzają w ogrodzie rodzinnego domu praktyczny trening.

Poniżej: Manolo Bienvenida i jego trzej bracia, którzy również obiorą karjerę pogromców byka.



ŻYCIE PRYWATNE HISZPAŃSKIEGO TORERO

Przybrany w aksamity, złoto i hafty wysoki, szczupły, giętki, piękny jak młody Bóg, torero skłania się przed trybuną pięknych dam, które rzucają mu kwiaty, wachlarze i uśmiechy i słodkie przyrzeczenia czarnych oczu"... tak zapewne wyobraża sobie daleki czytelnik zakończenie walki byków, a idąc myślą dalej za bohaterem chwili, widzi go u nóg pięknej hrabianki... Zresztą słynny Blasco Ibanez w swej powieści „Krwawa arena" opisał wszak miłość wielkiej damy dla bohaterskiego torero; coprawda Blasco Ibanez opisał też i niejedną niedolę słynnego torrero, jednak czytelnik woli pamiętać tylko o chwilach zwycięstwa i chwilach miłości. To też nic dziwnego, że wytworzył się mit o torero hiszpańskim, którzy wśród pijatyk, pięknych Carmen i piękniejszych jeszcze po stokroć arystokratek, rozkoszuje się życiem i sławą. A rzeczywistość? Rzeczywistość jest inna oczywiście: torero to człowiek, który nawet wtedy gdy już zdobył sławę, a co za tem idzie, zarabia olbrzymie pieniądze, musi walczyć o utrzymanie się na wysokości zadania, człowiek, któremu nie wolno prawie nigdy wyjść po za ramy wstrzemięźliwego, umiarkowanego bytowania, treningu i skoncentrowania.

Starsi koledzy odwiedzają młodego Bienvenidę w jego rodzinnym domu.



sa lub swoją Matkę Boską, w której szczególną potęgę lub dobroć niezachwianie wierzy. Wielki torero przekonał się — jak powiada — że jego codzienne modlitwy do Chrystusa w Sewilli ochroniły go dotychczas od wszelkiego złego przypadku, więc zachowuje Mu wdzięczność i zupełne oddanie.

Oprócz zaś Boga i oprócz ojca, boi się jeszcze Manolo... tuszy lub wszelkiej deformacji, to też poza uprawianiem gimnastyki i sportów stara się też zachować linję przez ścisłą djetę. Gdy w wielkim jadalnym pokoju pięknego mieszkania rodziny Bienvenidów zasiądą przy książęco nakrytym stole, młodzi torerzy Manolo i Pepe nie bez widocznej zazdrości przyglądają się, jak matka dba o to, aby ojciec i młodsze rodzeństwo zajadali jaknajlepsze potrawy, oni dwaj żywią się jarzynami, przyrządzonemi bez tłuszczu, owocami, mięsem i rybą z grillu. Ale bo też obcisłe ubranie torera zdradziłoby odrazu oczom znawców każdy zbyteczny łut. Po obiedzie w „hallu", którego główną dekorację stanowi obraz przedstawiający grupę torerów, zasiada kilku panów o poważnym i zamożnym wyglądzie, rozmowa toczy się przy cygarze, ale młodzi palą bardzo umiarkowanie, w pewnych okresach użycie papierosów lub kawy, nie mówiąc już o alkoholu, ograniczone jest do minimum. Ktoby pomyślał, że panowie ci postawili sobie jako zadanie w życiu zabijanie lub rozjuszanie byków? Tak jednak jest. Nęci ich nie tylko głód sławy, chociażby dlatego, że nazwiska najlepszych nawet bandolerów



Poranek Manolo Bienvenida spędza nader pracowicie na ćwiczeniach gimnastycznych.



Oto pod badawczem spojrzeniem Manola Bienvenidy ćwiczą jego bracia ciekawsze fortele arenowe.



Wyrobienie zręczności, jakoteż siły w rękach są potrzebne przyszłemu toreadorowi.

i picaderów znane są tylko najgorliwszy amatorom walki byków i nie przechodzą bynajmniej do historji, lecz chęć zarobku. Arena jest dobrem polem do pracy, człowiek odważny może tutaj prędzej niż w innym zawodzie dojść do pieniędzy, oczywiście narażając stokrotnie życie swe. Ale któżby o tym myślał, o to się już troszczy Opatrzność lub święty patron...

Nie brak rodzin w Hiszpanji, w których syna lub synów od dziecka wychowuje się dla areny, rzadko jednak rodzina jakaś jest tak całkowicie oddana arenie, jak rodzina Bienvenidów; widocznie ojciec, który już zaniechał walki byków, cały swój zapał zawodowy koncentruje na wychowaniu synów, to też zdrowi i ładni bracia godzinami całemi trenują pod okiem ojca lub starszych braci. Trening ten, póki są w Madrycie, wygląda na zabawę, rzeczywiście jeden z chłopców musi udawać byka, podczas gdy drugi w roli torera ćwiczy piękne i zręczne ruchy. Najzdolniejszym z chłopców jest najmłodszy Juanito, dziecko o niesłychanej giętkości, podczas gdy inni dwaj malcy wskazują skłonności do tuszy. Z jakąż to dumą jeden z nich opowiada, że już zabił byka! Ma 12 lat. Okazję potemu miał zapewne w lecie, gdy cała rodzina przenosi się z Madrytu na wieś, do swej posiadłości, gdzie mogą ćwiczyć się już na żywych objektach.

Takiem więc dalekiem, od szałów i blasku, jest życie torera hiszpańskiego. Może z czasem, uciuławszy bardzo wielki majątek, Manolo lub Pepe, porzucą swój zawód zdrowi i nieokaleczeni i ruszą w świat, aby nareszcie zakosztować życia, ale bardziej prawdopodobnem jest, że ożenią się młodo i będą prowadzili wzorowe życie rodzinne, jak to czyni ich ojciec, a za pieniądze, które zdobędą, narażając życie, kupią wielkie posiadłości wiejskie lub zaprowadzą hodowlę byków, co jest przeważnie marzeniem młodych torerów. Może będą też pisali wiersze o wielkich, czarnych bestjach w mgławym świetle poranku, o miłości swej jedynej, o byku... Bo nie ulega wątpliwości, że torero, człowiek, którego głównym celem w życiu jest zabijanie byków, kocha gorąco swe ofiary. I niewiadomo, czy ta krwawa miłość wpływa na to, że i miłość do kobiety w Hiszpanji jest raczej walką niż miłością, czy też hiszpańska koncepcja miłości do kobiety powoduje, że młody torero jest wstanie zabijać to, czem się zachwyca, to co ukochał... Ale jeżeli głębia duszy pięknych torerów pozostaje dla nas tajemnicą, to życie ich jest życiem każdego zapalonego sportowca i rekordzisty, niczem więcej i niczem mniej. Bez krwawych walk byków, bez czarnowłosej Carmeny z różą w ustach i bez zaułków tajemniczych Sevilli czy Valencji, nie byłoby tej Hiszpanji — jaką my znamy z opowieści. Ale ileż różnic zachodzi między prawdziwą a tą konwencjonalną ojczyzną torerów!

Zofja Kramsztyk (Madryt).



Na lewo: Co rano toreador poleca swoje życie opiece swego patrona. — Poniżej: Ostatnia faza walki byków, kiedy toreador przygotowuje się do zadania przeciwnikowi śmiertelnego razu.



CONTINENTAL!

Powyżej: Trzy pozy taneczne „Contin [illegible]“ w wykonaniu świetnej pary: Ginger Rogers i [illegible]eda Astaire.

Cztery namiętne akcenty saksofonów rozpłynęły się w dusznej atmosferze kinoteatru... Odpowiedziało im gdzieś u samych szczytów wiolinu smętne zawołanie trąbek, którego echo rozbudziło przedziwną melodję skrzypiec. W dole, niczem miarowy stukot kół pędzącego ekspresu, rozlała się fala uderzeń jazzbandu.

I naraz jak szum nadciągającej burzy, początkowo jeszcze słaby, niby brzęk skrzydełek lecących owadów — potem coraz silniejszy, przepojony mocarną nutą zagarnięcia całej przestrzeni zawirował w powietrzu rytmiczny dźwięk i polifonją wszystkich instrumentów buchnął pod strop sali, która zamarła w bezruchu zasłuchania...

I popłynęła melodja, roześmiana jak płocha dziewczyna, co wabi nas żarem iskrzących się oczu i nęci poematem rozchylonych warg, by zaraz potem umknąć nam z oczu, niby miraż chwilowego szczęścia i skryć się poza zasłony z mgieł zwątpienia... To pytająca fraza refrenu, podchwycona głębokiem unisonem klarnetów, akcentowana zawiłą figuracją fortepianowego akompanjamentu, odsłania nam widok lśniącej tafli parkietu, po której mkną w zawrotnem tempie dwie postacie...

Ona — fascynująca dziewczyna, w powiewnej czarnej sukni, dla której prawdziwym klejnotem-ozdobą to korona jej jasnych blond włosów: on — smukły młodzieniec, w świetnie skrojonym fraku, który jak ulany leży na zgrabnej figurze tancerza, wykonującego skomplikowane pas...

Ginger Rogers i Fred Astaire tańczą przy dźwiękach Continentalu!

Po raz pierwszy ujrzano ich w Los Angeles i wówczas sukces tej świetnej pary przeszedł oczekiwania wytwórni, która dla reklamy nowego dźwiękowca zaaranżowała występ artystów na wielkim balu gwiazd filmowych. I od tej chwili, która zbiegła się z premjerą obrazu w Nowym Jorku, sława Ginger i Freda była ustalona. Wypromieniowana z metropolji X Muzy, dotarła do najdalszych zakątków świata i ze skromnej, do niedawna zupełnie nieznanej girlsy uczyniła dziś jedną z największych gwiazd.



Ginger Rogers, która w świecie filmowym uchodziła za zdolną i ładną tancerkę, długo czekała na pierwszą rolę w dźwiękowcu. Otrzymała ją w obrazie Dolores del Rio „Cariocca“ i tam już zwróciła uwagę reżyserów nadzwyczajnemi walorami swej sztuki choreograficznej. Pierwszy jej partner zaliczał jednak taniec do tych wszystkich umiejętności, jakie z obowiązku posiąść musi w większym lub mniejszym stopniu każdy aktor filmowy. Słowem nie był „urodzonym“ tancerzem. Nic więc dziwnego, że Ginger, dla której taniec jest najlepszym terenem artystycznego wypowiedzenia się, nie czuła się w jego ramionach pewnie. W ten sposób musiała czekać na właściwego partnera, który pojawił się u jej boku dopiero w osobie Freda Astaire.

I tak powstała para, olśniewająca nas swym kunsztem tanecznym, niezwykłą elegancją ruchów i osobistym charmem postaci. Przy dźwiękach „Continentalu“ mknie ona na lśniącej tafli parkietu, raz zespolona w subtelnym uchwycie pozy nowego foxtrota, to znów rozłączona fruwa niczem dwa czarne motyle, szukające ukojenia w rytmie przedziwnej melodji...

J. L.

Wizyta u IGNACEGO PADEREWSKIEGO

Kazimiera Dąbrowska, uprawiająca z wielkim talentem szlachetny dział malarstwa, — portretową minjaturę, odwiedziła niedawno Ignacego Paderewskiego w jego posiadłości w Riond Bosson w Szwajcarji.

Dowiedziawszy się o tem, udałam się do niej z prośbą o podzielenie się swemi wrażeniami z Czytelnikami „Asa".

Kazimiera Dąbrowska, znana już Czytelnikom naszego Magazynu z reprodukcyj licznych dzieł, poświęciła się minjaturze od r. 1916. Pracowita artystka stworzyła dotychczas blisko 500 portrecików minjaturowych, znajdujących się w posiadaniu licznych miłośników jej talentu. Zapewne niewszyscy zdają sobie sprawę, jak wiele mrówczej pracy włożyć trzeba w stworzenie obrazka na kilku centymetrach



Na tarasie pałaca I. J. Paderewskiego w Riond-Bosson. — Od lewej: P. Kotarbińska, I. J. Paderewski, p. K. Dąbrowska znana minjaturzystka, p. Horodyski, p. Strakaczowa z mężem i córką.



Portret minjatura I. J. Paderewskiego pędzla K. Dąbrowskiej.

kwadratowych kości słoniowej. Dziś w epoce gorączkowego tempa życia, pośpiechu w pracy, taniego blichtru i taniego luksusu, wytwórczości serjowych obrazów, minjatura wydaje się jakimś archaicznym zabytkiem, niezgodnym z rytmem naszej epoki. Tymczasem wbrew duchowi czasu, minjatura, która przeżyła swój najpiękniejszy okres w XIV wieku w epoce tworzenia iluminowanych modlitewników, przez anonimowych artystów zakonników, odradza się. Zanikła ona właściwie dopiero w połowie XIX wieku spowodu wynalazku Daguerre'a (fotografje). Dziś najwierniejsza kolorowa fotografja nie wystarcza prawdziwym miłośnikom sztuki, którzy z chęcią powracają do cacka minionych wieków, minjatury, malowanej ręcznie przez utalentowanych artystów.

Kazimiera Dąbrowska urządziła swą wytworną pracownię w jednym z pięknych domów Alei Ujazdowskiej w Warszawie. Tam od białego ranka aż do wieczora siedzi przy swym minjaturowym pulpicie, wykonanym precyzyjnie i z japońską drobiazgowością. Po prawej stronie ma baterję najlepszych farb gwaszowych, z lewej arsenał cieniutkich pendzelków angielskich. W swej subtelnej pracy posługuje się artystka mocnemi szkłami. Potrzeba niezwykłego ukochania sztuki i samozaparcia, by spędzać lata całe nad subtelnem drobiazgowem punktowaniem mikroskopijnych portrecików i kompozycyj. Poza pracowitością do wykonywania tego zawodu potrzeba wysokiej kultury artystycznej, smaku, a przedewszystkiem... talentu! Przeglądając dziesiątki minjatur oraz reprodukcyj dzieł K. Dąbrowskiej nabieramy podziwu dla talentu artystki.

— Jakież odniosła pani wrażenia z pobytu w Riond Bosson

— Najmilsze! Nigdy jeszcze nie spotkałam w mem życiu równie czarującego i miłego gospodarza,, jakim jest p. prezydent Paderewski! — (tak go w Szwajcarji tytułują cudzoziemcy i swoi, biorąc asumpt z jego byłego premjerostwa).

— A jak wygląda obecnie w 75 roku swego górnego i chlubnego dla Polski i sztuki życia, ten ukochany przez wszystkich artysta?

— Bardzo dobrze! Jest zdrowy, rzeźki i nigdy nie ma zmęczonego wyglądu. Charakterystyczna głowa, wymarzony model dla malarza. To też gdy go tylko zobaczyłam pochwyciłam natychmiast ołówek i wykonałam dziesiątki szkiców tej szlachetnej głowy. Mistrz z niesłychaną uprzejmością i cierpliwością pozował mi. Pewnego razu, gdy rozzuchwalona jego dobrocią, poprosiłam, aby coś zagrał, gdyż pragnę studjować wyraz twarzy jego w czasie gry, wtedy Paderewski w nadzwyczaj uprzejmy sposób odmówił mi, gdyż w tym okresie nie zasiadał do fortepianu. Kiedy już nadchodził kres mego tygodniowego pobytu i gdy już zupełnie zwątpiłam, że usłyszę grę mistrza, wszedł on nagle do mego pokoju i poprosił do salonu. Tam usiadł natychmiast do fortepianu i zagrał. Miałam przygotowany materjał rysunkowy, lecz skoro spojrzałam na jego twarz w czasie gry, wypadł mi ołówek z ręki! Rysy twarzy Paderewskiego zmieniają się w sposób gwałtowny w momencie , gdy palce uderzą o klawisze. Na subtelnej, wyrzeźbionej żyłami twarzy, uplastycznia się jakiś niesamowity stan skupienia psychicznego. Człowiek, który wydawał się przed chwilą tak mocarny i dumny, zmienia się nagle w jakiegoś skromnego, cichego i zupełnie oddanego niewidzialnym duchom muzyki, artystę. Gra mistrza i jego przeżycia, tak przejrzyście rysujące się na twarzy, wywarły na mnie potężne wrażenie.

Na drugi dzień opuściłam Riond Bosson, unosząc z sobą niezapomniane na całe życie artystyczne wrażenie z pobytu u Mistrza, który tak kocha Polskę i tak bardzo do niej tęskni...

— A jakie pani ma obecnie zamiary?

— Mojem gorącem marzeniem, to stworzenie kolekcji portretów minjaturowych najbardziej zasłużonych osobistości współczesnej Polski. Nie wiem, czy ten śmiały plan mi się uda, lecz już posiadam dość poważny dorobek. Mam cykl portretów Prezydenta Mościckiego, portret Marszałka Piłsudskiego, Stanisława Żeromskiego, Osterwy (cykl) i wizerunki wybitnych naszych ministrów i dyplomatów. Kolekcję tę wzbogaci obecnie portret Paderewskiego. Widzi pani, iż nie próżnuję! Obecnie dla „Asa" wykonuje portret laureatki konkursu na „Najpiękniejszy uśmiech".

Jak to miło malować dziś — uśmiechniętych ludzi!..

Krystyna Dienstl.



Pałacyk I. J. Paderewskiego w Riond-Bosson, w Szwajcarji.

WYŚCIG
O Z★Y★C★I★E.



Oto chwila decydująca o życiu biednego zająca, za którym puściły się w pogoń charty.

Są instynkty niejako zasadnicze, które odnoszą się w tej samej mierze do ludzi i do zwierząt. Jest nim przedewszystkiem instynkt samozachowawczy, który równie silnie odczuwa człowiek, jak najdrobniejsze nawet stworzenie. I gdy nadchodzi chwila decydująca w egzystencji danej istoty, gdy musi się ona wyrwać ze szponów czyhającej śmierci, wtedy nie-

Poniżej: Ostrzegawcza syrena zaalarmowała robotników o wybuchu trujących gazów. Uzbrojeni w maski gazowe uciekają w bezpieczne miejsca.





Załoga okrętu, który zginął wśród spienionych fal zdołała się tylko częściowo uratowac na zapasowej łodzi, opierającej się z trudem rozszalałemu żywiołowi.

ma różnicy między królem stworzenia — człowiekiem, a każdą inną żyjącą istotą.

Istnieje przekonanie poparte zresztą konkretnemi dowodami, że w chwili, kiedy nieubłagana śmierć człowieka ma ująć w swe zimne ramiona, całe życie i wszystkie choćby drobne jego epizody stają mu żywo w oczach. A czyż biedny przez psy goniony zając, umykający przed poszczekującemi napastnikami, lub drobna ptaszyna, nad którą krąży nieubłagany sęp lub orzeł nie przeżywa podobnych wzruszeń, które zatrzymują trwożne ich serca? Uciekający szarak bezwątpienia błyskawicznie obmyśla wszelkie fortele i manewry strategiczne, któreby go mogły uratować przed ostrymi zębami charta.

Mówiąc o tych chwilach walki człowieka ze śmiercią spotykamy się z dziwnemi przeciwieństwami w współczesnym świecie. O ile z jednej strony cywilizacja zrobiła ogromnie dużo, aby zabezpieczyć człowiekowi bezpieczeństwo i uchronić go przed wszelkiego rodzaju nieoczekiwanemi katastrofami, o tyle z drugiej istnieje obecnie chyba więcej sytuacyj, grożących człowiekowi śmiercią niż dawniej. Bo cóż właściwie się zmieniło? —



Lekarz - bakterjolog uzbrojony w maskę i gumowe rękawice bada bakcyle licznych śmiercionośnych chorób, chcąc znaleźć przeciwko nim skuteczną broń.

Wprawdzie nie szaleją już takie zarazy jak w średniowieczu i medycyna z wieloma chorobami daje sobie dobrze radę, ale przecież w dalszym ciągu istnieją wojny bezwzględnie krwawsze, jak dawniej, a co gorsza operujące bronią bardziej morderczą. Nowe wynalazki stworzyły nowe ofiary postępu, a nie potrzeba chyba przypominać, ile tysięcy osób rokrocznie traci życie pod kołami samochodów, w katastrofach kolejowych, samolotowych i innych. Przez ileżto krwawych ofiar ludzkość przebrnąć musiała, zanim doszła do rezultatów w różnych dziedzinach wiedzy!

Niczem nie zamącona cisza panuje wokoło, zlewając się w jedną wielką harmonję z białością śniegów, otulających góry jak daleko oko sięgnie. Żadnego głosu ani hałasu, słowo wypowiedziane przez człowieka zdaje się być jakby ziarnkiem piasku rzuconem w ciemną otchłań. Mknący na nartach sportowiec rozkoszuje się tym widokiem, lecz przyjdzie chwila, kiedy spostrzeże, że znalazł się w potrzasku nieubłaganego nieprzyjaciela — śniegu. Olbrzymie zwały śnieżne poczynają powoli, ale systematycznie osaczać człowieka, obsuwać się, grożąc mu zasypaniem i uścieleniem mu zimowego grobu. Zbierając wszystkie swe siły stara się on wtedy uciec przed zimnym uściskiem, podążając w nieznaną dal. Ale oto inny obraz przykuwa naszą uwagę, obraz realny, tysiączne razy zdarzający się na ziemi, która podobno urządzona jest dla szczęścia ludkości. Po licznych atakach ognia karabinowego, po bombardowaniu działami, żołnierz leżący w stanie bolesnego odrętwienia w rowach strzeleckich wypoczywa. Cieszy się, jakże niewiele potrzeba mu do szczęścia, że przeżyje choćby kilka godzin względnego spokoju. Lecz płonne są jego nadzieje, gdyż oto w powietrzu poczyna się unosić słodkawy zapach gazów trujących, a wkrótce da się słyszeć alarm. Maski gazowe i karabin do ręki! Za chwilę, za kwadrans, a może prędzej nastąpi pod osłoną nocy atak na bagnety. Ani chwili do stracenia! I znów człowiek ciska się w agonji, jak zwierz tropiony przez myśliwego, czepia się ostatniej nadziei i czysto zwierzęcym instynktem wiedziony, gra ze śmiercią na zwłokę. — Ale nie koniec na tem. Przypomnijmy sobie inne sytuacje, które nawet najbardziej odważnym odbierają spokój. Salony olbrzymiego parowca rozbrzmiewają muzyką i ludzkimi głosami, wspaniałe toalety pań czynią z nich miejsca równie wytworne, jak salony pałaców. Egzotyczne kwiaty, wspaniałe kryształy, wytworne meble, wszystko tworzy atmosferę artystyczną. W salach panuje gorąco, jakie zwykło towarzyszyć zebraniom towarzyskim. Naraz kilka osób konstatuje ze zdziwieniem ogromny spadek temperatury, a panie proszą o swe płaszcze. W dwadzieścia minut później olbrzym morski tonie, a pasażerowie walczą o łodzie zapasowe. Nieomal zupełnie przepołowiony przez górę lodową kadłub giganta morskiego powoli zanurza się w wodach olbrzymiego, cichego jak grób oceanu, nad którym migotliwie świecą gwiazdy. Czyż w takich chwilach okrzyk przerażenia ludzi różni się czemkolwiek od ryku dzikich zwierząt, uciekających z palących się dżungli?

Ogłuszający łoskot motoru tworzy monotonną melodję, towarzyszącą olbrzymiemu ptakowi z żelaza, szybującemu ponad chmurami. Pilot i obserwator są czujni i wytężają władze umysłowe do ostatnich granic, gdyż nietylko walczą z wichrem, szalejącym naokoło nich, ale muszą się ukrywać przed drapieżną flotyllą samolotów, które starają się ich okrążyć. Walka na śmierć i życie! Ucieczka pod osłoną śmiercionośnych strzałów terkoczącego karabinu maszynowego, nieprawdopodobnie karkołomne sztuki i manewry, oto co czeka rycerzy przestworzy. Pierścień nieprzyjacielski zacieśnia się. Za chwilę spadnie jeden z samolotów, podobnie jak kamień owinięty w gazetę, którą się zapala, rzucając go do studni starego zamczyska celem przekonania turystów o głębokości jej. Żywa pochodnia stanowić będzie piękny widok dla pozostałych żywych ludzi!



Na lewo: Mimo, iż wróg wysłał na okopy chmury trującego gazu, żołnierze nie wypuszczają z ręki karabinów, gdyż każda minuta stanowić może o klęsce lub zwycięstwie.



Uwięzienie wśród lodów okrętu ekspedycji naukowej zmusza jego załogę do dalekiej wędrówki, by ujść cało z życiem.



Na prawo: Walka samolotów w przestworzach odznacza się niezwykłą bezwzględnością; każda chwila może pogrążyć lotnika w objęcia śmierci.

Chwila zmagania się człowieka ze śmiercią ma w sobie coś dziwnie fascynującego, a równocześnie bolesnego. Przecież na widok takiej sceny, jaką w życiu możemy obserwować choćby na polowaniu, przeciętnemu człowiekowi, za wyjątkiem oczywiście myśliwego, cisną się na pamięć różne refleksje, szarpiące jego sercem. Przypomina się słynne powiedzenie Szekspira, które wkłada on w usta jednemu ze swych królewskich bohaterów, uciekającemu przed wrogiem: „Konia, konia za królestwo!".

Okrzyk to staroświecki, dziś zażądalibyśmy samolotu, luks-torpedy lub auta sportowego! Tak czy owak tylko sam wyścig o życie pozostał niezmieniony!

J. G. M.

UCIECZKA PRZED BIAŁĄ ŚMIERCIĄ.

Zgubiony wśród białej, bezkresnej zdawałoby się pustyni turysta stara się jaknajprędzej wydobyć z kręgu obsuwających się pokładów śniegu, grożących mu zasypaniem i śmiercią.



DEDIÉ A NORBERTO ARDELLI.

CHANT D'AUTOMNE

Boston

Słowa: H. Wertówny

Muzyka: Feliksa Halperna

Mt de Valse.

Wchmur — ną noc bi.je wo — kna chło — dny wiew....

je — sień ser — ca na.sze ob — na.ża jak ga — tę — zie

drzew.

allargando.....

Sło — wa na.sze jak po.żółkłe liś — cie,

con espressione

Zi.mnem tchnieniem po.rozwiewał wiatr.

Już nie czekać mi na two.je przyj — ście,

Szczęt na wargach po.ca.tun.ków ślad....

pp e ritard.

Chciał.bym tylko no — wej wio.sny do — żyć,

Mo — że znów wga.tę. ziachwonnych bzów...

Znaj — dę, szu.ka.ją — cy, zu — stęsknienia drżą.cy,

Za.pomniane e.cho naszych najgorętszych słów!

f

mf

Dzieci szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

21-szy ODCINEK.

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA

Był to manewr, który stosował zawsze przy pierwszem zetknięciu się z ludźmi. Sposób, w jaki znosili te kilka sekund milczenia — oczekiwania — niepokoju, decydował dlań o tem, jak należy pokierować całą akcję.

W przeprowadzaniu tej niemej inkwizycji nie posługiwał się nigdy oczyma. Plessoye nie dowierzał oczom, jako pośrednikom zmysłowym, najpodatniejszym na wpływ inteligencji. Wrażeniom odbieranym za pośrednictwem słuchu, muskułów, nerwów — tym wolał ufać Plessoye.

To były surowce, któremi posługiwał się w praktykach tej duchowej alchemji. W pierwszem zetknięciu, jakieś westchnienie — skrzyp krzesła — oddech, który niecierpliwość przyspiesza — rytm wybijany nerwową stopą, a niosący się ku niemu głuchą falą w drżeniu podłogi, były cenniejsze dlań, niż wyraz twarzy, obserwowanej bacznie.

„Przedewszystkiem trzeba rozkrochmalić dziennikarza" — pomyślał. I podnosząc promienne swe czoło, zaczął:

— Panie Le Droz, musimy najpierw zająć stanowisko co do pewnego zajścia natury osobistej. Robię to w obecności pańskich przyjaciół, bo w tem, co mam do powiedzenia, nie może być nic, czegoby pan miał się wstydzić.

— Nawet, gdyby było inaczej, p. Ministrze, przyjaciele moi wiedzieliby już o tem. Może pan mówić z całą swobodą — odpowiedział Le Droz nieledwie, że wyzywająco.

— Tem lepiej. Cenię wierną przyjaźń — wie pan coś o tem — i pisał pan o tem nawet, za co zresztą jestem panu wdzięczny... Tylko proszę nie upatrywać w tem, co powiedziałem, zdawkowej ironji — bardzo szczerze proszę o to. — Jeżeli chodzi o mnie, to artykuł pański zachwycił mnie. Najwierniejsi moi współpracownicy, nie wszyscy rozumieją mnie tak dobrze jak pan mnie zrozumiał. Żeby zrobić takie studjum psychologiczne, musiał pan chyba śledzić mnie — i to śledzić z uwagą, z czego jestem dumny. To pan chyba rozumie. — Ale to nie wszystko. Starzy kucharze parlamentarni i dziennikarscy wyrzucają panu surowo sposób, w jaki dotarł pan do naszej jaskini — jako nitkę Arjadny, mając jedynie słówko, niebacznie rzucone przez pewną damę — w której obronie wystąpił pan czynnie chwilę pierwej. Trzeba im darować. Osłabione ich żołądki nie znoszą już silnej, korzennej przyprawy. Lecz ta błyskawiczna rekonstrukcja całego procesu sekretnych rokowań — których utrzymanie w tajemnicy napełniało mnie taką dumą! — ta, niedowiary wprost, śmiałość, która wywiodła mnie w pole — mnie, uprawiającego bluff zawodowo — i samego nawet Herwezy'ego! Dla mnie było to wszystko wprost cudowne! Zechce mi pan uczynić ten zaszczyt i uwierzyć moim słowom.

Plessoye rozwijał i zaokrąglał zdania swej przemowy z uwagą i ostrożnością, jaką stosuje się przy smarowaniu drażliwego miejsca, maścią kojącą. Znał przytem magiczny wpływ, jaki wywierało jego oblicze, kiedy przemawiał. Osądził teraz, że narkotyk powinien już działać i przyspieszył akcję. Zaczął mówić szybko i z żywością, jakby broniąc swych argumentów wobec przeciwnika, którego wartość jako równą swojej, uznaje:

— Ale te właśnie zalety pańskie godziły w sprawę, która gorąco leżała mi na sercu. Byłem zmuszony sparować uderzenie. I sparowałem je — nie próbując jednakże mścić się na panu. Jeżeli ucierpiał pan przy tem, proszę nie zwalać na mnie winy za tchórzostwo innych ludzi — których znam lepiej od pana... Myśleli przypodobać się mi — a ja zaraz, tego samego dnia, kiedy ukazał się artykuł pański, zapragnąłem pozyskać pana na współpracownika. Jednakże przedtem, trzeba mi było zakończyć tę sprawę z Węgrami. Dziś jest to już faktem dokonanym — czytał pan chyba w dziennikach. Dziś więc proponuję panu piękny wyczyn. Ale na to nie może być między nami żadnego cienia — żadnych niedopowiedzeń. — Czy mogę więc pana uważać za przyjaciela?

— Panie Ministrze! — zawołał Le Droz. — Tem, co pan powiedział, zrobił mi pan tyle dobrego — tyle dobrego! Proszę mi darować, ale nie wierzyłem w lojalność pańską — i cierpiałem przez to... Bo, bo — teraz już mogę to powiedzieć — mam dla pana tyle podziwu — i mam go od chwili, kiedy zacząłem jasno orjentować się w ludziach. Mówiłem o tem przed Iwanem, przed Rob —

— Nie potrzeba tu świadków — przerwał mu Plessoye.

— Le Droz mówił o panu, jak kochanek — zaśmiał się Vivant. — I między nami, zdaje mi się, że miał rację...

Przez oczy byłego ministra przeleciał ów błysk rozrzewnienia i wdzięczności, który budził zawsze dźwięk głosu i śmiech pilota; podjął teraz wesoło:

— Mam przyjaciela, którego kocham taką miłością, jaką wy kochacie się między sobą. Jest to doktor Piotr Levrat. Chirurg, zamieszkały w Oranie — znaczny majątek — dosyć silne wpływy na miejscu. — Wrażliwy na politycznego mokroba. — Dodatkowe wybory do Izby odbędą się za kilka tygodni w Oranie. Levrat chce zasiąść w Izbie. Ja pragnę tego również dla niego. Nie ma dotąd zorganizowanej kampanji wyborczej, ani organu prasowego — nic. Le Droz stworzy mu dziennik — Vivant dostanie samolot i będzie w nim robił propagandę. Będzie zrywał zgromadzenia wyborcze przeciwnej partji. Pan de Jasarte, jeżeli taka będzie jego wola, zajmie się naturalizowanymi obywatelami hiszpańskiego pochodzenia, którzy stanowią niesłychanie ważny element w Oranji. — Wyznaczono budżet 100 tysięcy franków na pokrycie wydatków panów. Koszta podróży i utrzymanie w Oranji pokrywa oczywiście Levrat. — W ten sposób, nie rozstając się, będziecie mieli sposobność wziąć udział w ciekawej walce. — Czy mam zawołać doktora?

— Chwileczkę. Proszę pozwolić, panie Ministrze — rzekł Jasarte.

Uśmiechnął się do przyjaciół, jakby poczuwał się do winy, lecz ciągnął dalej stanowczym głosem:

— Jakąkolwiek będzie decyzja Le Droza i Ivana — widzę się zmuszonym odrazu poprosić pana Ministra, by nie liczył na mnie. Stryj mój, którego pan zna, próbował nieraz pociągnąć mnie ku swojej partji. Nie chciałem. Nie lubię tych rzeczy — trzeba mi to wybaczyć. — A więc, zaczynać robić we Francji to, na co nie chciałem się zgodzić w Hiszpanji — to niemożliwe. Zresztą, mam prawo bić się tylko u siebie, w kraju. Jestem pewny, że przyjaciele nie będą mieli żalu do mnie.

Plessoye pochylił czoło, na znak zrozumienia i zgody:

— Przewidziałem to — rzekł (co nie było prawdą) — i żałuję mocno. Levrat będzie się więc musiał zadowolnić Le Drozem i Vivantem.

Podczas, gdy miała miejsce powyższa wymiana zdań, Le Droz — który zresztą nie słyszał jej zupełnie — czuł, że opadają mu duszę uczucia naglące, a wręcz przeciwne sobie i poczynają ją rozdzierać, niby sfora zajadła.

Na progu wieczności — prawie że pod kołami samolotu, startującego na

— Czy pan się dobrze zastanowił? — zapytał ostro.

— Lepiej, niż kiedykolwiek w życiu.

Z uśmiechem, którym nie próbował już nawet maskować irytacji, Plessoye zwrócił się do Ivana:

— A ten trzeci pan, czy raczy?

— Niepodobna — odparł pilot — skoro Le Droz nie chce. I, między nami mówiąc, zdaje mi się, że ma rację.

Tym razem śmiech Ivana wywołał skurcz na twarzy Plessoye.

— W takim razie, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko przeprosić panów, że ich na tak długo oderwałem od zajęć...

* * *

Kiedy trzech przyjaciół opuściło gabinet byłego ministra, Plessoye przeszedł przez kilka przykrych chwil. Rachuby jego — a przedewszystkiem jego czarujący urok, poniosły porażkę; trudno mu było pogodzić się z tem. Rzadko kiedy zdarzyło mu się roztoczyć go tyle — lubił bowiem podbijać serca młodzieży — a tu jeden po drugim, ci smarkacze — te hulaki! — przeciwstawili mu oporne czoła. I tak spokojnie, z nieledwie wzgardliwym uporem, że były minister poczuł się zdezorjentowany — zwątpił w swą własną moc. A tak był pewny ich zgody! Nie mogli mu odmówić, bo przecież...

W tem miejscu Plessoye, który z powodu zachowania trzech przyjaciół począł wątpić już w siebie, zwątpił nagle w źródło, z którego informacje swe czerpał.

— Proszę o prefekturę policji — rzucił do słuchawki telefonu. — Czy informacja ogólna? — Pan Goutier?... Tu Plessoye. — Proszę mi powtórzyć doniesienie, które zrobił mi pan wczoraj. — I jeżeli nie jest pan absolutnie pewny jego dokładności, to proszę odrazu to powiedzieć. Upewniam pana, że będzie to dla pana korzystniej...

— Panie Ministrze! Dokładność mych informacyj — tak, jak i moja gorliwość dla pana Ministra, nie mogą absolutnie podane być w wątpliwość — proszę mi wierzyć! — odpowiedział urzędnik policyjny. — Mam czek Le Droza w rękach, panie Ministrze — kontrola nad salami gry przekazała mi go. Pojutrze skarga będzie wniesiona. A co do panów Vivant i Jasarte, panie Ministrze, to uczęszczają z nim stale do nocnych lokali, gdzie cały personal służbowy jest na naszym żołdzie. Wszyscy trzej są w długach po uszy — osaczeni — przyparci do muru — straceni. Czy pan Minister chce sam zobaczyć czek i raporty?

Plessoye przeciął tok dalszych zapewnień.

— W takim razie, to szaleńcy! — pomyślał na głos. — Ale wspaniali szaleńcy.



Na Placu Panteonu Vivant zaczął się śmiać...

śmiertelny lot, zjawiał się cud, nieprzewidziany — niemożliwy do ziszczenia, a jednak — Le Droz teraz dopiero widział z jaką siłą — oczekiwany przezeń napięciem każdego nerwu. Wystarczyło uczynić znak zgody — i już był ocalony! Plessoye nie opuściłby go nigdy. Stałby się jego współpracownikiem — jego człowiekiem — jego rzeczą.

Ale tu właśnie wszystko zaczynało się walić.

Zgodzić się więc na wybawienie za tę cenę? — Mieć pana nad sobą, nawet, gdyby panem tym miał być człowiek tak sławny i tak szlachetny? — Nie należeć już do siebie? — Wyrzec się tej rozkoszy, że można odnosić się do każdego, jak do równego sobie? — Łamać swą dumę — hamować polot? — Zawsze już chodzić śladami czyjemiś?... A to wszystko dla tej pracy, którą uważał za najbardziej niegodną między wszystkiemi — dla tego rzemiosła agitatora wyborczego...

W ten więc sposób miało się zacząć ziszczenie jego marzenia? Ten jego dumny, wolny, gorący w walce dziennik — ta surma, której głos miał iść po ziemi całej — to dzieło jego życia całego miało się zrodzić z takiej szmaty — z takiego steku brudów, nie do uniknięcia w polemice wyborczej — i z dymu płatnych kadzideł!

Spojrzał w czyste oblicza Ramona i Ivana i w chwili, kiedy Plessoye kładł już rękę na klamce, odezwał się:

— Jestem panu wdzięczny — więcej nawet, niż pan to może przypuścić. Ale przyjąć nie mogę. Polityka czynna, to nie moje rzemiosło. Robiłbym to źle — i nie darowałbym sobie tego.

Tak jak bardzo był panem swych nerwów, Plessoye drgnął jednakowoż na to oświadczenie.

Na Placu Panteonu Vivant zaczął się śmiać, ale tak serdecznie, że Le Droz i Ramon, choć nie mieli do śmiechu ochoty, musieli pójść za jego przykładem. Przestawali na chwilę, by nabrać tchu i zaczynali śmiać się na nowo. Próbowali się powstrzymać, lecz nie udawało im się to. Przechodnie, ludzie opuszczający Bibljotekę Świętej Genowefy, albo kościół Świętego Szczepana na Wzgórzu, przypatrywali się z surowemi minami tej grupce, jak przypuszczali, pijanych studentów. Wreszcie, wśród ostatnich, konwulsyjnych wybuchów radości, Vivant zdołał wykrzyknąć:

— Nie! Ta mina ministra... kiedy Le Droz nie chciał... Nie, to za komiczne!... O jej! Aż mnie boli ze śmiechu... Pokazywał nam cukier, a my nie chcieliśmy tańczyć na dwóch łapkach... O, pan minister przestał być przyjemny wtedy!... Co za kawał!... Jutro, na samym już Łuku Triumfalnym, będę jeszcze myślał o tem!

Lecz Le Droz, pohamowawszy czysto nerwowy śmiech, który ściskał mu krtań, rzekł półgłosem:

— Nie trzeba wyśmiewać się z niego, Ivan. To szlachetny człowiek. Mimo krzywdy, którą mu wyrządziłem, ofiarowywał nam wybawienie.

— Racja! — poparł go Ramon. — Miałby nawet zupełne prawo uważać nas za niewdzięczników.

I zaczęli iść ku bulwarowi St. Michel.

— A, to już szczyt wszystkiego! — zawołał nagle Le Droz. — Żeby być zmuszonym odepchnąć deskę ratunku w chwili, w której się tonie!

— Czarna serja nie zna litości! — odrzekł z przekonaniem Jasarte. — I tak np. moja książeczka loteryjna...

I umilkł nagle zmieszany. Le Droz nie zwrócił na to uwagi, lecz Vivant, którego umysł wolny był od wszelkiej spekulacji myślowej i żalu, zapytał:

— Jaka książeczka?

— E, nic... Taka stara, głupia historja...

Gdyby Jesarte powiedział był te słowa zwykłym, naturalnym tonem, przyjaciele byliby go zostawili w spokoju i wypadki potoczyłyby się swoją koleją. Lecz zmieszanie jego i niezdolność ukrycia czegokolwiek były tak widoczne, że tak dziennikarz, jak i Vivant poczęli nalegać nań pytaniami.

— To źle, że ukrywasz coś przed nami — rzekł wreszcie Le Droz.

— A zresztą na zakręcie, na którym stoimy, to już wszystko jedno — rzekł z westchnieniem Jasarte. — Nie chciałem wam mówić o tem, bo bałem się, że moglibyście to wziąść za wyrzut z mej strony. Przyznaję, że było to głupie i niesprawiedliwe dla was.

— No, gadasz, czy nie? — krzyknął niecierpliwie Vivant.

— Ta książeczka loteryjna, którą miałem przy sobie w Casa, zawierała numer, który wyszedł.

— I co? — zapytał Le Droz.

— Ależ... nie przypominasz sobie... że ci ją dałem wtedy, bo nie miałem już ani franka przy duszy... Prosiłem cię, żebyś ją sprzedał i zapłacił szampan, który wypiliśmy za zdrowie Ivana...

— W szpitalu?

— Tak.

— I był w niej los, który wygrał?

— Tak. Ni mniej ni więcej tylko 300 tysięcy pesetów.

— Co?!!

— W trzy miesiące później dostałem zawiadomienie...

(Ciąg dalszy nastąpi

Życie towarzyskie i artystyczne.

SUKCES POZNAŃSKIEJ ARTYSTKI.



Do najlepszych przedstawień na scenach poznańskich należy bezwątpienia miła operetka „Rose Marie", w której artystka opery poznańskiej p. Jadwiga Musielewska odniosła wielki sukces w tytułowej roli. Zarówno wysoki poziom artystyczny śpiewu, jak i uroda artystki zapewniły jej trwałe powodzenie.

Fot. J. Puciński — Poznań.

ZE SCENY KRAKOWSKIEJ.



Z dniem 1-go stycznia na scenę Teatru Miejskiego im. Juljusza Słowackiego weszła świetna komedja Saszy Guitry, znanego paryskiego autora p. t. „Oddajmy się marzeniu". Jak wszystkie niemal komedje tego autora, tak i ona zdobyła sympatję publiczności, do czego przyczynili się dobrą grą p. Niedziałkowska i p. Węgrzyn, których widzimy na zdjęciu w jednej ze scen sztuki.

Fot. „As".

OPERETKA STRAUSSA



Z okazji świąt Bożego Narodzenia Teatr Polski w Poznaniu wystawił najnowszą komedję muzyczną „Piosenka o Nadinie" z muzyką Straussa, której pierwszy akt rozgrywa się w wieczór wigilijny. Na zdjęciu w scenie z pierwszego aktu od lewej: Ada Zasadzianka (Simona), Roman Zawistowski (Gustaw), Barbara Ludwiżanka (Nadina) i Ryszard Kierczyński (Hubert).

NOWY TANIEC W U. S. A.



Znana para tancerzy amerykańskich „Dario and Diana" opracowali ostatnio nowy taniec zwany dość oryginalnie „pałacem prezydenta"! Nowa kreacja ma być pierwszy raz odtańczona oficjalnie w hotelu Waldorf - Astoria w Nowym Jorku w dniu imienin prezydenta Roosevelta t. j. 30 stycznia.

W KRÓLESTWIE KARNAWAŁU



HISTORJA ★ PĄCZKA

Data narodzin pączka zlewa się z ważną datą historyczną, tj. z rokiem 1683, ni mniej ni więcej tylko z odsieczą Wiednia, z którą to datą jak wiemy łączy się też powstanie pierwszej kawiarni.

Pierwszą wytwórczynią pączków była wdowa Cecylja Krapf, której mąż padł podczas oblężenia Wiednia przez Turków.

Szukając po śmierci męża utrzymania dla siebie i dzieci, zapobiegliwa wdowa założyła na peryferjach miasta małą „paszteciarnię", rodzaj cukierenki, w której w obecności kupujących wysmażała na maśle małe okrągłe ciasteczka, sprzedając je po grajcarze. Ciasteczka te zyskały sobie u Wiedeńczyków, już wtedy — jak i dotąd — wielkich smakoszy, duży rozgłos, to też wędrowali gromadami za miasto, aby się raczyć „Krapfinami", jak od nazwiska wytwórczyni ciasteczka te w lot nazwano.

Ciastka te nie wiele miały wspólnego z leciutkimi tworami w tej dziedzinie dzisiejszych czasów, niemniej widocznie smakowały Wiedeńczykom, skoro twórczyni ich wzbogaciła się, urządzając w różnych częściach miasta specjalne wytwórnie pączków.

Dopiero w 30 lat później — jak fama niesie — paszteciarka próbowała ulepszać ciastka, napełniając je cukrowanemi owocami, a gdy spostrzegła dodatni wynik, posłała półmisek tych bardzo już wtedy popularnych „Krapfinów" na dwór jednego z książąt austrjackich, gdzie się odbywał bal karnawałowy.

Od tego czasu ciastka zyskały pełne uznanie we wszystkich sferach i stały się uprzywilejowanym przysmakiem karnawałowym nietylko w Wiedniu, ale i daleko poza jego granicami, można śmiało powiedzieć w całym świecie, bo każdy karnawał musi mieć swoje bale, maski i pączki.

Jak bardzo lubiane były wtedy pączki świadczy fakt, że Marja Teresa, wysyłając do Francji swą córkę, nieszczęśliwą Marję Antoninę, dodała jej do dworu, towarzyszącego w podróży, specjalistę pączkarza, ażeby jej we Francji, gdzie pączków wówczas nie znano, nie brakło tego specjału.

Pączek zyskał potem obywatelstwo w całym świecie. Każdy kraj wyrabiał je na swój sposób, to też mamy wiele ich odmian. Od naszych delikatnych jasno-brążowych z białym pieścieniem wokoło, do „szerokich" pączków niemieckich, o których mówią żartownisie, że trzeba je naprzód przerzucić przez trzy kamienice, aby były możliwe do zjedzenia.

Ideał pączka określają w ten sposób: musi być tak lekki, aby ulatywał z półmiska z powodu przeciągu kiedy się drzwi otworzy...

Czy udał się której z Czytelniczek „Asa" taki pączek? Wiemy, że szybko ulatuje z półmiska — tylko nie z powodu przeciągu... *Sc. Ko.*



Smażenie smakowitych wafli na smalcu przy pomocy specjalnej foremki.



Tacka z pączkami lukrowanemi, które niektórzy wolą od posypanych cukrem.

ŁAMIGŁÓWKI MODY MĘSKIEJ

Ubranie frakowe i jego akcesorja.

Tak się już jakoś u nas utarło, że mężczyźni, wybierając się na zabawę w karnawale, ubierają bez żenady smocking, który w żadnym wypadku do tego celu służyć nie może. Ubranie smockingowe jest niczem innem, jak marynarką, ozdobioną jedwabiem, który nadaje jej wprawdzie cechy stroju wieczorowego, ale z wyłącznem przeznaczeniem noszenia w gronie męskiem, jak to się np. dzieje w Anglji, lub jesli są panie w towarzystwie, to wszędzie tam, gdzie się nie tańczy. Z chwilą jednak, gdy dominującą cechą jakiegoś zebrania jest taniec, lub co więcej, gdy chodzi wprost o bal i maskaradę, smocking wyglądać musi humorystycznie.

Przyzwyczailiśmy się do noszenia go przy każdej sposobności, która wymaga od nas uroczystego akcentu w stroju. W ten sposób, szczególnie na prowincji, doprowadzono rzecz do absurdu, używając np. smockinga w południe do ślubu, lub na proszone śniadanie. A tymczasem jakżeż łatwo wybrnąć z tej właśnie łamigłówki mody męskiej. Istnieje przecież w repertuarze ubiorów gentelmana ubranie, które od lat niemalże niezmienione daje mężczyźnie w takich właśnie wypadkach najodpowiedniejszą oprawę. Jest niem frak, najpiękniejszy strój rodzaju męskiego, niesłusznie u nas spychany do lamusa — dziś na całym świecie obchodzący swój renesans. Niewątpliwie ważną w tem ubraniu rzeczą, to nieskazitelny krój i dlatego można do pewnego stopnia zrozumieć ucieczkę prowincjonalnych sław krawieckich od tej właśnie kreacji. Ale już rzeczą samego klijenta będzie troskliwie dbać o wygląd fraka i jego akcesorja. Pikowy gors koszuli w tak modne obecnie wzory *(vide fotografje)*, jedno lub dwurzędowa kamizelka, odpowiednie rożki przy kołnierzyku, niezaszeroki motylek, lakierki bez kapki lub czółenka, wkońcu cienkie czarne pończochy matowe, dyskretne spinki do mankiet i gorsu — to te współczynniki stroju frakowego, które dopiero razem wzięte, tworzą sharmonizowaną kreację.

Brummel.





Na lewo: Kilka wzorów pikowych gorsów koszul frakowych i smokingowych — bliżej: dwa wzory kołnierzyków z rożkami — wyżej: fasony modnych dziś kamizelek pikowych.

IDZIEMY NA MASKARADĘ



Uroczy biały strój hiszpański, cały z koronek.

Jakkolwiek powojenną powszechność dancingów odjęła wiele uroku naszym karnawałom, to jednak pozostał jeszcze pewien odcinek zwyczajów zapustnych, którego nie dotknęła dłoń czasu. Jest jak i był dotąd właściwością każdego karnawału i nie przekroczył poza „dni szału" od Sylwestra po popielec.

To maskarada, bal kostjumowy, reduta.

Odmienne jest do nich ustosunkowanie piękniejszej i brzydszej połowy świata. Panowie patrzą na nie jak i na inne zabawy, li tylko pod kątem widzenia towarzysko-tanecznym. Panie natomiast, mając przed sobą możliwość przeobrażenia swej sylwetki, korzystają ze sposobności, aby wraz z nią dokonać w tę jedną noc takiego cudu, który sprawia, że każda z nich może przez kilka godzin przeistoczyć się w jakąś inną postać, zagrać w niej rolę innej kobiety, czy to z innego środowiska, czy z innych epok, co powoduje tak pożądaną odmianę także i w zakresie psychicznym.

Upodobanie „przebierania się" wrodzone jest każdej kobiecie od dziecka. Największą przyjemnością małych dziewczynek jest przymierzanie sukienek mamy czy starszej siostrzyczki. Ileż wtedy rojeń nieuświadomionych krąży w małej główce, w której zwolna wykształcają się zmysły kokieterji, zalotności, smaku i gustu, nieodstępnych odtąd towarzyszek kobiecej doli.

W wieku młodzieńczym zaczyna piękna pani swobodnie już korzystać ze sposobności „przebierania się"... nietylko w magazynach mody, nie o tem tu myślimy! Konieczności życiowe składają się na to, że odmiana stroju jest wskazana kodeksem towarzyskim. Pani w domu, przy pracy zawodowej, w życiu towarzyskiem, nad morzem, na nartach, na koniu, czy w aucie — ileż to przeobrażeń, którym ulegamy, nie zdając sobie nawet sprawy z zasadniczych zmian postaci, które, przyznajmy się do tego między sobą, doskonale działają na samopoczucie pięknej pani.

Gdy zatem nadchodzi karnawał i jest możliwość ukazania się w kostjumie, odbiegającym od zwyczajnego trybu życia, nie żałujmy trudu, aby pomyśleć nad interesującym kostjumem. Przeobrażanie takie na jedną noc podziała bardzo orzeźwiająco na dłuższy czas.

Są pewne typy kostjumów redutowych, w których napewno bardzo korzystnie objawi się uroda każdej pani. To przedewszystkiem strój hiszpański z koronkową chustą, upiętą wysoko na olbrzymim grzebieniu, która od niego spada w ponętnych zwojach po całej postaci. Czarna lub biała koronka, przy kostjumie obciskającym w jedwab błyszczący talję, pięknie uwydatnia się zarówno u blondynki jak i brunetki. Także i rokokowe krynoliny z brokatowych jedwabi i koronek są bardzo efektowne jako redutowy strój. Niezmiernie twarzowe są kołnierze stuartowskie przy odpowiednim dekolcie. Słowem stroje historyczne jak i etnograficzne dostarczają wiele możliwości do wykonania kostjumu maskaradowego.

Prawdziwie wytworna pani unikać będzie przy wyborze kostjumu tak często spotykanych a trywjalnych ubiorów rodzajowych, tych aż do znudzenia oglądanych pierrotów, colombin, kwiaciarek, andrusów i t. d. Pozostawi je dla osób, nie rozróżniających prawdziwej dystynkcji od objawów złego gustu, który przecież, jak złe ziele, pleni się natrętnie dokoła nas. Kto tej sztuki nie posiada a pragnie dostroić się do poziomu dystyngowanej, budzącej podziw kobiety, niech przejdzie czemprędzej dobrą szkołę w tej dziedzinie, jaką da dobra krawcowa lub... prawdziwa przyjaciółka. **Mewa.**



Najpiękniejszy typ krynoliny z wachlarzykowatych falbanek koronkowych.

STROJE Z CZASÓW SASKICH...

...a więc z połowy XVIII. w., mogą z powodzeniem służyć nowoczesnej pani na balu kostjumowym. →



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

GROSZEK PTYSIOWY. Pół szklanki wody zagotować z łyżką masła, zasypać szklanką mąki i wybić łyżka na ogniu na gładkie ciasto. Następnie ostudzić i wbić po jednemu dwa jaja, ubijając przez 10—15 minut. Na rozpalonym tłuszczu wysmaża się z ciasta tego maleńkie buleczki i podaje do rosołu.

TORT KREMOWY NIE PIECZONY. 25 dkg masła deserowego uciera się na pianę, dodaje 20 dkg cukru i 20 dkg rozmiękczonej czekolady. Dobrze wymieszaną masę układa się na opłatku. Gdy masa dobrze stężeje, pokrywa się ją drugą masą, a mianowicie: 30 dkg mielonych orzechów lub parzonych migdałów, wsypuje się na syrop ugotowany z 30 dkg cukru i 6 łyżeczek wody oraz łyżeczki soku cytrynowego. Zasmażoną masę odstawia się natychmiast, ostudza zupełnie i nakłada na poprzednią. Tort pokrywa się polewą czekoladową, ugotowaną z 2 dkg czekolady, łyżki masła, 2 łyżek cukru i 2 łyżek słodkiej śmietanki.

ZUPA Z WŁOSKIEJ KAPUSTY. Małą główkę włoskiej kapusty sparzyć dwa razy, następnie ugotować w rosole z kości cielęcych. Miękką kapustę pokrajać w makaron (nie siekać), podprawić ósemką kwaśnej śmietany rozbitej z łyżką mąki, podgotować, dolać rosołu wedle potrzeby (zupa powinna być gęsta), dodać szczyptę soli, pieprzu i cukru do smaku.

SAŁATA DWUKOLOROWA Z KAPUSTY. Główkę białej kapusty zeszatkować, zagotować, odlać i gotować następnie przez 10 minut w słonej wodzie. Wyrzucić na sito i dobrze osączyć z wody. Podobnie postąpić z główką czerwonej kapusty z tą różnicą, że nie należy jej parzyć, tylko odrazu gotować przez 10 minut w wodzie z solą i troszką kminku, a po odcedzeniu zalać natychmiast octem, aby odzyskała czerwony kolor. Sporządzić majonez z 2 żółtek i 1/4 l oliwy, dolewanej kroplami. Dla ostrożności poleca się ucierać majonez naprzód z 1 żółtka, a w razie gdyby dobrze nie gęstniał, utrzeć w innem naczyniu drugie żółtko przy dolewaniu „zważonego", tj. nieudałego majonezu i reszty oliwy. Pod koniec ucierania można już dolewać oliwy sporzej. (Jaja i oliwa powinny mieć temperaturę pokojową, z za zimnych dodatków majonez się nie uda). Ostudzoną dobrze kapustę miesza się, każdą zosobna z majonezem podzielonym na dwie części i układa trójkątami zmieniając kolory na szklanej salaterce. Chcąc mieć sałatkę ostrzejszą, można ją zaprawić tartą cebulką i białym pieprzem.

NÓŻKI WIEPRZOWE FASZEROWANE. Ugotowane w rosole z jarzynami nóżki wieprzowe lub cielęce oczyścić ostrożnie z kostek tak, aby nie przedrzeć skóry (najlepiej, jak długo są gorące), następnie rozkłada je płasko na desce, smaruje farszem, zwija, spina drewienkami lub owija nitką, panieruje w jajku i bułce i osmaża na maśle. Farsz sporządza się z kawałka pieczeni wieprzowej uduszonej na cebuli z grzybami. Zmielone mięso wraz z grzybkami i kawałkiem bułki zasmaża się na maśle i miesza z jajkiem. Do potrawy tej podaje się osobno ostry sos „Soubise" lub inny.

SZCZUPAK GOTOWANY Z JAJAMI. Oczyszczonego i posolonego szczupaka pozostawia się dwie godziny w chłodzie, następnie gotuje w słonej wodzie z jarzynami. Gotować w całości na kraju blachy, aby się nie rozpadł. Rybę wyjmuje się z rosołu, układa na półmisku i polewa suto masłem zrumienionem, zmieszanem z drobno posiekanem jajem. Małe wykrawane ziemniaczki lub smażone krokietki z ziemniaczków służą do obłożenia ryby.

SZWEDZKIE PĄCZKI. Pół szklanki mleka i tyleż wody wlać do rondelka, dodać szczyptę soli i łyżeczkę masła, zagotować i zasypać 15 dkg sypkiej mąki, ubijać na ogniu aż masa od ścian rondelka odstaje. Ubijać następnie aż do ostudzenia. Następnie wbijać pojedynczo 6 jaj, pilnie ubijając, dodać jeszcze kieliszek rumu i dobrze wymieszać. Następnie kładzie się ciasto łyżeczką na ciepły, nie rozpalony, tłuszcz i smaży, stopniowo ogrzewając, przyczem ciasto rośnie, pączki pękają, masa z wewnątrz się wydobywa i całe ciasto się wysmaża. Gdybyśmy ciasto dali na tłuszcz rozpalony, ciężkie ciasto się ściągnie, nie wyrośnie i opadnie na spód, dlatego uwaga! Usmażone pączki układa się kopiasto na półmisku i posypuje cukrem z wanilją. Osobno podaje się chaudeau winne, krem waniljowy lub rozgotowaną marmoladę morelową lub poziomkową. Można też nakrawać z boku próżne wewnątrz pączki i napełniać konfiturami lub bitą śmietanką.

GALARETKA POMARAŃCZOWA. 3 żółtka i 15 dkg mączki cukrowej z zapachem pomarańczy ucierać przez pół godziny, dolewając po łyżeczce sok z 2 pomarańcz i 1 cytryny; następnie dolewa się przez sitko 1½ dkg żelatyny, rozpuszczonej w małej filiżance gorącej wody, wkońcu domieszać tęgą pianę z 3 białek. Galaretkę tę można zastudzić w formie lub napełniać koszyczki z łupek pomarańczowych. Po zastudzeniu ozdabia się galaretkę bitą śmietanką.

Sc. Ko.

Modna zastawa do herbaty.



Stół do herbaty daje dużo możliwości dla pomysłowej pani domu, która przy nim gromadzi nad wieczorem grono najbliższych przyjaciół. Modne obecnie świece ładnie wyglądają na tle porcelanowych lichtarzy.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 3 — Styczeń — Dni 31
Niedziela 12 Arkadiusza	Zupa z włoskiej kapusty z śmietaną. Omlety z siekaninką z dziczyzny. Pieczeń cielęca zwijana z krokietami z ziemniaczków. Galaretka pomarańczowa. Kolacja: Zimna pieczeń z sałatką dwukolorową z kapusty.
Poniedziałek 13 Hilarego bisk.	Zupa węgierska gulaszowa. Budyń z grzybów suszonych. Kotlety wieprzowe duszone z kapustą. Gruszki z Wecka w sosie waniljowym. Kolacja: Wątróbka po wiedeńsku.
Wtorek 14 Feliksa z Noli	Zupa z groszku zielonego /z konserw/. Risotto na podróbkach z kury lub kaczki. Kura w potrawie z pieczarkami. Jabłka smażone w cieście. Kolacja: Nóżki wieprzowe faszerowane.
Środa 15 Maura op.	Rosół z ptysiowym groszkiem. Sztuka mięsa z szpinakiem. Kaczka pieczona z jabłkami, puree ziemniaczane. Pączki szwedzkie. Kolacja: Kiełbaski w sosie musztardowym.
Czwartek 16 Marcelego I pap.	Barszcz na rosole z główki wieprzowej. Mięso z rosołu z chrzanem jajecznym. Polędwica wołowa po angielsku w garniturze z jarzyn. Chrust /faworki/. Kolacja: Gęsie wątróbki z ryżem.
Piątek 17 Antoniego op.	Zupa grzybowa z płatkami. Budyń serowy w serwecie. Szczupak gotowany z masłem i jajami. Kompot z suszonych śliwek i pomarańczy. Kolacja: Śledzie smażone w jajach z ziemniaczkami.
Sobota 18 Pryski p.	Zupa "risotto". Kapusta włoska w cieście. Comber zajęczy po polsku z makaronem. Strudel tyrolski. Kolacja: Pasztet zajęczy na ciepło.

HOCKI-KLOCKI

GWIAZDA I DZIENNIKARZE.



— Czy moglibyśmy panią poprosić o mały wywiadzik?

ZNAWCZYNI MUZYKI.



ON: Graliśmy wczoraj Beethovena...
ONA: A to ciekawe! No i kto wygrał?

Rozwiązanie z N-ru 1-go.

1. W BARZE.

Cała kompanja spotykała się w barze co 420 dni. Najczęściej tworzyli czwórkę do bridża panowie Podpijalski, Zapijalski, Birbancki i Łykalski — co cztery dni.

2. PODZIAŁ NAGRODY.

Rozwiązanie podamy w następnym numerze.

3. KŁOPOTY Z DZIEĆMI.

Rodzice mieli po troje dzieci z pierwszych małżeństw, w obecnem drugiem sześcioro.

4. TRZY WIOSKI.

Z zadania wynika, że odległość między Nową Wsią a Małą Wsią wynosi 5 km., odległość zaś między Starą Wsią a Małą Wsią 2.5 km., czyli że Mała Wieś musi leżeć na drodze między dwiema pozostałemi wioskami, które są od siebie oddalone o 7.5 km.

5. MATKA I CÓRKA.

Za 4½ lat. Matka wówczas będzie mieć 49½, córka 16½ lat.

6. SZEŚĆ DOMKÓW.

Jeśli odległości między domkami będą wynosić kolejno 1, 1, 4, 4, 3 i 14 km. wzdłuż drogi okrężnej, wówczas między poszczególnemi domkami można będzie wyznaczyć każdy dystans od jednego do dwudziestu sześciu kilometrów włącznie.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

1. DZIWNE POKREWIEŃSTWO.

— Nie mam braci ani sióstr — rzekł pewien pan do swego gościa, wskazując na piękny portret — ale ojciec sportretowanego młodzieńca jest synem mego ojca.

W jakiem wzajemnem pokrewieństwie znajdują się mówiący te słowa i młody człowiek z wiszącego na ścianie portretu?

2. HAZARD NA TORZE.

Startują trzy konie: Lord, Junak i Astarte. Totalizator płaci za Lorda — 4:1, za Junaka — 3:1 i za Astarte 2:1. Ile trzebaby postawić na każdego konia aby wygrać 13 zł. bez względu na wynik biegu? Przypuśćmy, że stawiamy na wszystkie trzy konie po 5 zł. Jeśli wygrywa Lord, wówczas otrzymamy 20 złotych (cztery razy 5 zł.) i zapłacimy po 5 złotych za dwa pozostałe konie — wygramy więc na czysto 10 zł. Jeśli jednak wygra Junak, wówczas zarobimy tylko 5 zł., jeśli zaś Astarte to nic. A jednak można obstawić wszystkie konie tak, ażeby w każdym wypadku wygrać 13 zł.

3. KŁOPOTY WINDZIARZA.

24 jednakowej wielkości beczki trzeba było dostarczyć na jedno z wyższych pięter wielkiego domu towarowego. Na windę wolno władować najwyżej 15 centnarów beczek naraz, a nie mieściło się na niej więcej niż osiem beczek. Było tam 5 beczek, ważących po 3 centnary, 11 beczek po 2 centnary i 8 beczek po 1 centnarze. Windziarz chciał ozywiście odtransportować beczki w możliwie najmniejszej ilości nawrotów. W ilu nawrotach mógł to uskutecznić?

Dokończenie ze str. 8-ej.

poprzednio Beebe wraz ze swym współpracownikiem zajmował się badaniem życia oceanicznego.

Po próbnem opuszczeniu batysfery do głębokości 600 m. i stwierdzeniu dobrego funkcjonowania wszystkich urządzeń, wszedł (a właściwie wlazł, por. fot.) do niej Beebe wraz z Bartonem i spuszczani przez 7-tonowy kołowrót, znajdujący się na pokładzie statku, zaczęli zanurzać się w niezbadane głębie oceanu. Zarówno pierwsza jak i wiele z następnych podróży podwodnych nieraz pełne były rozmaitych emocyj i silnych wrażeń, gdy np. w czasie pierwszego zanurzenia się zauważono w głęb. 90 m, przeciekającą drobną strugę wody, która na szczęście później nie powiększała się, lub gdy innym razem w znacznej głębokości zerwał się przewód telefoniczny, stanowiący jedyną komunikację z ludźmi znajdującymi się na statku.

Pierwsza podwodna podróż do głębokości 240 metrów, do której nigdy przedtem nie udało się dotrzeć żadnemu mieszkańcowi globu, była faktem dokonanym. Można było się kusić teraz o zdobywanie dalszych głębokości.

Podmorskie podróże Beebé'a w r. 1930 przyniosły w rezultacie osiągnięcie głębokości 435 metrów. W dwa lata później osiągnięto głębokość 700 m, wreszcie 15 sierpnia 1934 r. zdobyto nieprzekroczony dotychczas rekord w posuwaniu się w głąb oceanu, 923 m. Ciśnienie wody, w tej głębokości jest olbrzymie: na każdy cm² wynosi ono prawie 100 kg, każde okno batysfery wytrzymało ciężar 19 ton, a na całą kulę Beebé'a cisnęło ponad 7000 tonn.

Jakież wrażenia odnosili podróżnicy w nieznane głębie oceaniczne i jakie były wyniki ich obserwacyj? Na niezliczone pytania odpowiadał Beebe zwykle, że opowiadać o przebytych wrażeniach jest rzeczą niezmiernie trudną, naogół czuł się, jak nieskończony drobny atom w bezgranicznej przestrzeni.

W miarę zanurzania się zmniejsza się intensywność światła i widzialność. Obserwować można tylko zwierzęta świecące i oświetlane reflektorem. Na głębokości ponad 500 m. gołem okiem nie można było dojrzeć ani najsłabszego śladu światła. W głębszych warstwach wód panowała zupełna ciemność, rozświetlana tylko przez przepływające ryby świecące i inne zwierzęta. Przy pomocy silnych żarówek (1000 i 1500 watt) i użyciu lornetki granica widzialności i rozpoznawania zwierząt wynosiła 15 metrów oddalenia od batysfery.

Największą niespodziankę podmorskich wypraw Beebe'a stanowiła ilość obserwowanych ryb i innych zwierząt. O stanie fauny głębokomorskiej można było wnioskować dawniej tylko na podstawie połowów sieciami, zanurzanemi na znaczniejsze głębokości, przynoszących zresztą przeważnie uszkodzone zwierzęta wskutek znacznej różnicy ciśnień między powierzchnią wody a jej znaczniejszemi głębokościami. Naogół panowało zdanie, że życie głębokomorskie jest ubogie, a jego przedstawicielami są przeważnie zwierzęta zupełnie małe. Obserwacje dokonane z za okien batysfery każą powiększyć dotychczasowe zaludnienie głębokich warstw wód oceanicznych przedstawicielami świata zwierzęcego, a przedewszystkiem rybami, przeszło tysiąckrotnie. Obecnie wiemy, że i w tych niedostępnych do niedawna głębiach oceanicznych rozwija się swoiste życie, którego jednym z przejawów jest panująca w całym świecie walka o byt.

Prócz ryb znanych już poprzednio odkryto liczne gatunki zupełnie nowych o dziwacznych kształtach i niesamowitym nieraz wyglądzie. Wszystkie niemal one posiadają liczne narządy świetlne, pozwalające się im orjentować w ciemnym bezmiarze wód. Różnorodność kształtów oświetlonych stworzeń, ilość żarzących się narządów świetlnych, a przedewszystkiem wspaniałe barwy tych świateł sprawiają, że wyprawy batysferyczne — to zrealizowanie najwspanialszej podróży w czarowny i tajemniczy świat baśni. Wyprawy Beebe'a stanowią dalszy zwycięski krok mieszkańca globu ziemskiego w walce z przyrodą i w zdobywaniu zazdrośnie przez nią ukrywanych tajemnic. **Dr M. K.**

To warto poznać..

NA SCENIE.

Teatr Polski w Katowicach zdobył ostatnio nowy sukces artystyczny: Pierwszem wydarzeniem artystycznem wielkiej miary, była ciekawa, nowa inscenizacja „Dziadów", dzieło reżysera Pobóg-Kielanowskiego, drugiem jest **„Święty płomień"**, sztuka współczesna W. Maugham'a w reżyserji świetnej artystki Wandy Siemaszkowej, która równocześnie gra główną rolę matki Tabret. Rola ta, jak wiadomo, jest również jedną z popisowych ról Stanisławy Wysockiej. Każda z wielkich artystek daje inną koncepcję aktorską tej tragicznej postaci, każda z artystek stwarza kreację dużej miary. W takich rolach warto porównywać grę wielkich artystek. Obok Siemaszkowej zdobywa uznanie krytyki i publiczności Jadwiga Pytlasińska w roli pielęgniarki, Marja Sierska jako synowa i pp. Kielanowski i Wasilewski, grający synów p. Tabret. „Święty płomień", którego treścią i ideologją jest ocena matki, zabijającej chorego nieuleczalnie syna, by dać szczęście jego żonie i jego bratu, daje aktorom dobre role, ale artystycznie jest utworem słabym i mętnym.

Z teatrów t. zw. prowincjonalnych **Teatr Kameralny w Częstochowie** pod dyrekcją Kazimierza Brodzikowskiego, zdolnego artysty, przeżywa obecnie pełnię swego artystycznego rozkwitu, a przedewszystkiem sukcesu u publiczności. Teatr częstochowski, do którego dawniej uczęszczały tylko sfery inteligentne, zdołał przyciągnąć wszystkie warstwy społeczeństwa, a ilość poszczególnych przedstawień (np. „Kordjan" zgórą 30, „Śluby panieńskie" 28) świadczy najwymowniej o popularności teatru. Poziom artystyczny jest wcale wysoki, głównie dzięki inteligentnej reżyserji Bończy i starannej grze całego zespołu. Największy sukces artystyczny osiągnął **„Kordjan"** z E. Dobrowolskim w roli tytułowej, duże powodzenie zyskuje sobie **„Szesnastolatka"** Stuartów, grana w reżyserji Kwaskowskiego. Z dużą starannością przygotowuje teatr częstochowski przedstawienie dla młodzieży szkolnej, której obecnie ma dać „Pastorałki" Schillera. W przedstawieniu obok artystów weźmie także udział młodzież szkolna.

Teatr Letni w Warszawie postanowił dawać także przedstawienia dla młodzieży szkolnej sztuk specjalnie pisanych dla młodych. Na pierwszy ogień poszedł obrazek sceniczny w trzech aktach Ewy Szelburg Zarembiny **„Wyprawa po szczęście"**. Jest to unowocześniona bajka dla dzieci i młodzieży, która odpowiada współczesnym zadaniom pedagogicznym i wyzyskuje pewne momenty socjalne i humanitarne. Zasługę barwnego przedstawienia wraz z autorką dzielą kompozytor Karol Lewicki, balet Tacjany Wysockiej, dekorator Stanisław Jarocki i zwłaszcza reżyser debjutant Ziemowit Karpiński.

(swb).

NOWE KSIĄŻKI.

Niedzielne feljetony **Zygmunta Nowakowskiego** zebrane w jednym tomie ukażą się niebawem pod wspólnym tytułem **„Stawiam bańki"**. Będzie to nielada okazja dla tych, którzy nie zdążyli przeczytać tych feljetonów w niedzielnem IKC, dla tych zaś, którzy je czytali, nastręczy miłą sposobność do powtórzenia tej dowcipnej i barwnej lektury.

Michał Choromański ukończył wreszcie oddawna przygotowywaną wielką powieść pt.: **„Szpital Czerwonego Krzyża"**. Książka oddana już została do druku. Nowe dzieło Choromańskiego cechuje surowy realizm, bez tego nastroju tajemniczości, jaka przesłania akcję „Zazdrości i medycyny".

Pod auspicjami Polskiej Akademji Literatury przygotowuje „Gebethner i Wolff" wielkie wydanie **pism zebranych Elizy Orzeszkowej**. Dzieła Orzeszkowej, opracowane krytycznie przez p. Aurelego Drogoszewskiego i Stanisława Adamczewskiego, zawarte zostaną w 27 tomach. W toku prac wychodzi na jaw cały szereg rażących zniekształceń tekstu, zarówno wskutek dowolności wydawców, jak i korekt cenzorskich. Wydawnictwo, podobne do zebranych pism Bolesława Prusa, będzie bardzo tanie i ma na celu jak najszerszą popularyzację niesłusznie zapomnianej wielkiej pisarki, bojowniczki postępu i liberalizmu, której dzieła cechuje prostota i rzeczowość.

Niebylejaką sensacją literacką będzie powieść, **rodzaj pamiętników kelnera**. Jest to zupełnie dojrzała praca literacka, napisana z dużą kulturą, której autorem jest pewien **kelner krakowski**, który jeszcze niedawno był pikolakiem i który zapewne nie zechce ujawnić swego prawdziwego nazwiska. Powieść wyjdzie pod pseudonimem.

Generał Kutrzeba ukończył nową pracę historyczną. Jest to popularna analiza wojny 1920 roku.

W zbiorowem wydaniu pism **Orkana** ukaże się mało znana **„Droga czwartaków"**, której pierwsze, legjonowe wydanie dawno już zostało wyczerpane i uważane jest za unikat bibljofilski. (Gebethner i Wolff).

Mt.



NIEDZIELA 12. I.

10.00: Transmisja nabożeństwa z Łodzi.
12.15: Poranek muzyczny z Krakowa.
14.20: Muzyka salonowa.
16.00: „Na huculskim koniku" — opowiadanie dla dzieci.
17.40: Migawki regjonalne.
18.30: „Gody podhalańskie" — słuchowisko.
20.00: Marszałek Józef Piłsudski i rok 1863.
21.00: Wesoła Lwowska Fala.
21.20: „Na naszem Podolu" — feljeton.
22.00: Drugi koncert pianistów wyeliminowanych na Konkurs Chopinowski.
23.05: Muzyka taneczna.

PONIEDZIAŁEK 13. I.

12.15: Muzyka lekka i salonowa.
16.15: Koncert zespołu Wiktora Tychowskiego.
16.45: „W biurze" i „Telefon usprawnia życie, zbliża i przyspiesza" — skecze.
17.50: Pogadanka Brunona Winawera.
18.00: Recital fortepianowy Artura Hermelina.
21.00: Stare niemieckie pieśni ludowe w wykonaniu Podwójnego Kwartetu Wokalnego rozgłośni wrocławskiej.
21.30: Wielki liryk Rainer Maria Rilke — wieczór literacki.
22.00: Koncert symfoniczny.
23.05: Muzyka taneczna.

WTOREK 14. I.

12.30: Muzyka operowa.
16.15: Tańce hiszpańskie.
17.00: Maszyna do pisania — pogadanka z cyklu „Wielkie i drobne wynalazki".
18.00: Recital fortepianowy.
18.30: „Ton społeczny w naszej literaturze kobiecej" — szkic literacki.
22.30: Dziedziczenie chorób — odczyt dla lekarzy.
23.05: Muzyka taneczna.

ŚRODA 15. I.

12.30: Koncert Orkiestry Kameralnej.
15.30: Muzyka salonowa.
16.00: Rozmowa Majsterklepki z Lepigliną.
16.20: Pieśni murzyńskie.
17.00: „Powieść kryminalna" z cyklu „Dyskutujmy".
17.20: Muzyka krajów północnych.
20.00: Godzina Zagłębia Dąbrowskiego.
20.57: XX Audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina".
21.35: „Poezje Czesława Miłosza i Władysława Sebyły".
21.50: „Bezpłatna reklama" — pogadanka dla kupców.
22.00: Nastrojowe piosenki.
22.30: Muzyka taneczna.

CZWARTEK 16. I.

15.30: „Sentyment i humor w piosenkach przed stu laty" — reportaż muz.
16.00: „Gadaninka Starego Doktora" — aud. dla dzieci.
16.15: Płyty dla znawców.
18.00: Recital fortepianowy Imre Stefani'ego.
20.00: „Tu sprzedaje się maski" — lekka audycja ze Lwowa.
21.00: „Hallo! tu Brygada" — słuchowisko oryginalne Ernesta Johannsena.
21.40: Nasze pieśni w wykonaniu Eugenjusza Maya.
22.00: Koncert Symfoniczny w wykonaniu Orkiestry P. R.
23.05: Muzyka taneczna.

PIĄTEK 17. I.

12.15: „Samolotem nad Afryką"— audycja dla szkół.
16.00: Pogadanka dla chorych.
16.15: Koncert orkiestry pod dyrekcją Tadeusza Seredyńskiego.
18.00: Recital śpiewaczy Manety Radwanówny.
20.00: „Od chatki do chatki" — suita chłopska Tadeusza Sygietyńskiego.
21.00: Koncert Europejski z Lipska.
22.00: Kwartety Józefa Haydna.
22.30: Muzyka taneczna z dancingu Café Club.

SOBOTA 18. I.

12.15: Muzyka lekka i salonowa w wyk. Małej Orkiestry P. R.
14.30: Orkiestra Klubu Mandolinistów „Sempre vivo".
15.00: „Rozwód" — nowela Zuzanny Rabskiej.
16.15: Pieśni w wykonaniu Zofji Zeyland-Kapuścińskiej.
17.00: „As pik i cztery damy" — reportaż z cyklu „Sekrety stolicy".
17.50: „Pabjanice" — pogadanka z cyklu „Nasze miasta i miasteczka".
18.00: O Helence, co poszła na tarki — słuchowisko dla dzieci.
20.00: Zaręczyny pod latarnią — operetka.
21.30: Wesoła Syrena.
22.00: Koncert symfoniczny.
23.05: Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.